Nr. 52. Kraków, dnia 24 grudnia 1910. ROK 1.

TYGODNIK ILUSTROWANY NARODOWY

Do stołu wigilijnego wraz z najbliższą Rodziną zasiada jako druh serdeczny i przyjaciel bliski — także TYGODNIK NARODOWY. I łamie się opłatkiem ze wszystkimi Czytelnikami, Przyjaciółmi, Współpracownikami, życząc z głębi serca: wszystkiego co dla Was dobre i pożyteczne, a co wychodzi na dobro Ojczyzny i Narodu:

„Chrystus nam się narodził“ — leci wszędy radosna pieśń, usuwając smutki i żale, wesele i pogodę niecąc w duszy.

TYGODNIK NARODOWY zasyła wszystkim Przyjaciołom i Braciom najszczersze życzenia:

Szczęść Boże w pracy! Błogosław Bóg Wam, co w twardej doli zmagacie się o chleb codzienny dla siebie i dziatwy swojej; Błogosław Bóg i nam w żmudnej pracy prostowania dusz i rzeźbienia serc kryształnych! Szczęść Boże Wam i nam w trudzie znojnym.

Redakcya „Tygodnika Narodowego“.

Przy opłatku — parę słów pogawędki.

Skoro gwiazdy rozbłysną na niebie, cała Polska siądzie do stołu wigilijnego, zarzuconego sianem, aby tradycyjnym zwyczajem składać życzenia świąteczne. Radość przepaja serca wszystkich: Święto Narodzin Dziecięcia Bożego jest nie tylko największem świętem religijnem, ale jest i świętem narodowem. Spajamy się wszyscy radością wielką, narodzeniem Chrystusa, co światu całemu zwiastował zwycięstwo Prawdy nad fałszem, Dobra nad złem, Światłości nad ciemnotą. W nas budzi ono nadzieję i przekonanie, że skończy się dla nas wreszcie mitręga niewolnicza, nędzne wegetowanie narodowe, a nadejdzie czas pełnego rozwoju kulturalnego i narodowego. Narodzenie Chrystusowe i zwycięski pochód Jego Kościoła jest świadectwem zwycięstwa idei Sprawiedliwości: więc też wierzymy głęboko, że nastanie kres niesprawiedliwości, a wzrośnie sprawiedliwość społeczna i narodowa.

W dniu Narodzin Bożego Dzieciątka gwarzymy serdecznie i dzielimy się z otoczeniem uczuciami i myślami naszemi, troskami i radościami. Nieodłączny Wasz, kochani Czytelnicy, przyjaciel i druh, „Tygodnik Narodowy“, zasiadając razem do biesiady uroczystej, radby w kilku słowach przemówić do wszystkich.

* * *

Naród nasz przebył rok ciężki, ale promienny.

Przeżyliśmy rok Grunwaldzki promienny, pełen niezapomnianych wrażeń grunwaldzkich. Ile z nich spływało na dusze nasze siły, hartu i mocy, jak ogromnie tężały dusze, jak marzyły serca o tej przyszłości promiennej.

Pod Moskalem cios po ciosie spadał na nas, coraz większe ograniczenia wymyślano przeciwko nam. Utrudniano nam nietylko rozwój instytucyi kulturalnych, które naród sam stwarzał dla swego podniesienia, ale utrudniono nam wszelką gospodarczą inicyatywę i nawet pragną ograniczyć rozwój gospodarczy. Obecnie grozi nam nowy podział Królestwa w formie wyłączenia Chełmszczyzny, aby znów kawał kraju rzucić na pastwę Rosyanom.

Pod Prusakiem w każdej chwili groziło nam niebezpieczeństwo wywłaszczenia, szczęśliwie na razie zażegnane na czas pewien. Uporano się i z drugiem, mianowicie z usiłowaniami niemieckiemi, aby spis ludności wypadł na naszą niekorzyść. Wewnątrz musiano przejść silne kataklizmy, jak wybory poznańskie, dalszy podział na stronnictwa polityczne, zmiana stosunków na Górnym Śląsku. Fakty te, mniejsza o to, czy wyszły one na razie na korzyść społeczeństwa, dowodzą ogromnego ożywienia życia politycznego w zaborze pruskim, co jest objawem nader pożądanym.

Rozmaite fermenty polityczne w stronnictwach zaboru austryackiego nie są tak pomyślnymi objawami, co analogiczne ruchy pod Prusakiem, bo spowodowały je przeważnie zawody i ambicye osobiste.

Kwestya ruska i niemiecka są nieustanną bolączką kraju, a w czasach ostatnich objawiła się także kwestya żydowska w sposób coraz gwałtowniejszy i coraz bardziej stanowczy. Z drugiej strony, tj. od strony rządu, nie spotkało nas nic takiego, za co byśmy mieli mu być szczególnie wdzięczni. Sprawa kanałowa jest dosadnim dowodem, jak krajem opiekuje się rząd i jak on spełnia sankcyonowane przez monarchę ustawy. Takim samym dowodem „przychylności" rządu dla Galicyi są rozdawnictwa subwencyi na cele gospodarcze i kulturalne kraju, jest obcięcie w budżecie państwowym na rok 1911 datków na najważniejsze potrzeby nasze.

Ale ponad wszystko, ponad codzienne trudy, klęski i radości życia bieżącego wybijają się niezapomniane Dni Grunwaldzkie, pławiące dusze nasze w blaskach zwycięstwa i utwierdzające pracowników społecznych w wierze w ostateczny tryumf naszej sprawy. Owo skonsolidowanie warstwowe narodu polskiego, objawiające się w udziale wszystkich stanów w święceniu rocznicy — i teryToryalne, wszak w uroczystościach brała udział cała Polska bez względu na zabory i dzielnice, boć brali udział także wysłańcy nowej Polski za oceanem — jest świadectwem wzmożenia się wewnętrznych sił narodowych, siły politycznej i sił gospodarczych. Wszakże widzimy większe zainteresowanie Polską za granicami: wśród ludów słowiańskich, Szwajcaryi, Anglii, a przedewszystkiem we Francyi.

* * *

Na całość życia społecznego składają się najrozmaitsze objawy i zjawiska codzienne. Jednym z tych czynników jest nasz Tygodnik Narodowy. Powstały przed rokiem jako nowy typ pisma w Galicyi przeznaczony dla rodzin polskich umiał zaskarbić sobie uznanie szerokich sfer społeczeństwa. Aby udostępnić dobrą lekturę jak najszerszym warstwom, oznaczono cenę prenumeraty tak nizką, że jedynie przy bardzo wysokiej liczbie abonentów można nie czerpać zyski, ale pokryć koszta wydawnictwa. A mimo to nie wahano podjąć się wydawnictwa, które w każdym numerze na 32 stronach dostarcza kilkunastu artykułów społeczno-kulturalnych; popularno-naukowych, wierszy, powiastek, działu kobiecego, zagadnień, szarad, humorystyki — a także kilku powieści najcenniejszych autorów swoich i obcych. Każdy numer przynosi kilka ilustracyi wykonanych artystycznie, nieraz tak, że mogą służyć jako kartony albumowe.

Za cel postawiliśmy sobie dostarczenie jak najlepszego i najobfitszego materyału czytelnianego. Spoglądając na roczny dorobek pracy, możemy wyznać, że pod tym względem obowiązek swój spełniliśmy. Nie goniliśmy nigdy ani za poklaskiem chwili, ani za sensacyą dnia: regulatorem naszych opinii był wzgląd na dobro powszechne narodu. Ta zasada była wytyczną naszą w ocenianiu wypadków współczesnych. Nie ulegliśmy nigdy żadnej koteryi ani żadnemu stronnictwu, umieliśmy zawsze zachować godność osobistą, niezależność zdania, swobodę przekonań. Tem się szczycimy i chlubimy, to uważamy za rzecz nam najdroższą i najcenniejszą. Szczegółów naszych wystąpień nie mamy zamiaru przytaczać, znane są one zarówno naszym Czytelnikom, jak szerokiemu ogółowi, znalazły bowiem rozgłośne echo w prasie krajowej.

Jeżeli dziś powtarzamy te szczegóły to po to, aby zaznaczyć, że temi samemi zasadami kierować się będziemy w dalszej działalności naszej. Uważamy je za najlepsze, za takie uważają je nasi Przyjaciele i dlatego użyczają nam tak owocnego poparcia. Tem więc łatwiej nam przy stole wigilijnym siedząc i gwarząc, odwołać się do Czytelników i Przyjaciół o tem energiczniejsze poparcie i tem większą pomoc w wspólnej pracy nad dobrem powszechnem i publiczną dla narodu działalnością oświatową.



Jasełka Królowej Kingi.

Sala w żamku krakowskim, choć z kamieni budowana, przecie dziwnie była ciepła, bo na wszystkich jej ścianach wisiały grube, normandzkie tkaniny, przerabiane w czerwone i niebieskie kratki; w głębi, na wyższej ścianie, wisiał kosztowny kobierzec arabski, czyli, jak nazywano: „saracynowy“, który nietylko już chronił od chłodu, ale i oczy bawił cudnością swych arabeskowych figlasów. Na całej podłodze leżał szary, nowogrodzki wojłok, jeszcze podkładany słomą, którą co tydzień odmieniano, a według wzoru, danego przez innych, pobożnych monarchów, słoma wyjęta szła na sienniki dla chorych, do szpitala św. Ducha.

W zagłębieniach pysznego pułapu, między snycerszczyzną dębowych belkowań, gnieździły się srebrne orły. W oknach, zasiatkowanych ołowianemi obrążkami, widniały szybki, wprawdzie mdło świecące, bo ze szkła dość zielonawego, ale zabarwienie to nie było bez uroku, kiedy mimo śnieżnej zamieci, rzucało na salę światłość majową, niby zagajoną.

Od przeciwnej strony otwierał się nieodzowny komin, który już nie wyglądał na kuźnicową pieczarę, ale raczej na tryumfalną bramę. Po obu stronach podpierały go dwie ogromne figury kamienne, z których jedna wyobrażała Goliata, a druga Samsona; obaj ci siłacze podtrzymywali wystający daszek, nad którym, na złotej tarczy, namalowany był rycerz, z chorągwią w jednem ręku, z wiadrem wody w drugiem, z okrągłym napisem dokoła głowy; ale i bez czytania napisu, każdy z samych godeł poznawał, że to św. Floryan, Patron od ognia i szczególny Patron miasta Krakowa.

W głębi komina, poza pozłocistą kratką, stały ogromne wilki żelazne, wyrobione rzeczywiście w kształcie wilków, a wyrób tak był sztuczny, że strach brał, aby nie wyskoczyły na salę; wyraźnie im dokucza żarzewie, w którem brodzą,

fura drzew ciąży im na barku; przysiągłbyś, że wycie wichru, co huczy w kominie, wychodzi z tych paszczęk rozdziawionych.

Od czasu do czasu, strojne pacholęta przyklękały przed kominem, a nabrawszy czerwonych węgli na łopatki, nosiły je po sali, sypiąc bursztyn i drzewo sandałowe, z czego rozchodził się rajski zapach.

Trudno jest opisać wrażenia błogości, jakiej doznawali ludzie, co strząsłszy się na koniu, nałykawszy się grudniowej zawieruchy, weszli do tej sali, otulonej, wykadzonej, wyzłoconej, gdzie żadna ściana nie raziła nagością, gdzie stopom było miękciej, niż na darni, gdzie nawet futro stawało się niepotrzebnem. Dziś, przy niesłychanem rozpowszechnieniu wygody, krocie i tysiące żyją w podobnych rozkoszach; ale wówczas, w XIII stuleciu, za Bolesława Wstydliwego, trzeba ich było szukać aż w królewskich dworcach.

W owej chwili, dość liczne zgromadzenie cieszyło się temi rozkoszami; dość liczne, ale jakieś osobliwsze. Na miłość Boską! Co za niedobrane towarzystwo! Monarchinie i panny dworskie, wystrojone jakby „święte obrazy, a między niemi prości chłopi w kożuchach, z koszykami i jagniętami na ręku; przy nich znowu panicze co się zowie, ubrani suto, jak do ślubu, a pod kominem staruszek, podobny do żebraka, ubożuchny, siwiuchny, oparty na kiju, ze złotą obręczą nad głową. Po stronach rozmaici królowie, ale jacy? Jeden oliwkowy, istny Indyanin w paskowanej koszuli, z fontanną piór na głowie; drugi — jeszcze większe dziwo. Czarniusieńki, zupełny murzyn w czerwonym turbanie, ukląkł bez ceremonii na samym środku sali i trzyma otwartą szkatułkę. Niedaleko, jakaś pani w szkarłatach, z kręgiem filigranowych gwiazd przy skroniach, wyciągnęła ręce, stoi schylona, a nie wiedzieć nad czem, bo przed nią wszędzie pusta przestrzeń. Na stole, w fałdach purpurowej poduszki, leży malutkie dzieciątko, z ogromnemi, złotemi kolcami w koło główki; nikt go nie pilnuje, bo też niemowlę dziwnie ciche, ani piśnie, ani się ruszy. A tam podedrzwiami, ach patrzcie! Tam stoi skielet z kosą w ręku. A co nakoniec najtrudniejszego do wiary — po stołach i po ławach pełno aniołków ze skrzydłami! W obejściu tych osób także zachodzą niepojęte ostateczności: podczas kiedy jedne kręcą się, nawołują i nieustannie znoszą jakieś przedmioty, inne stoją milczące i nieruchome, jakby je kto zaklął.

Wszelki duch Pana Boga chwali! Czy ci ludzie potracili zmysły? czy, nie szanując Adwentu, już bawią się w maszkary?

Ani jedno, ani drugie, ale przy nadchodzących świętach, królowa ze swoim dworem ubiera Jasełka.

Co to za pyszna zabawa! Pełna zabiegów i gorączki, bo wszystkie kościoły krakowskie szykują takie widowiska, wszyscy mieszkańcy miasta przesadzają się w ich przystrajaniu, a Królowa Kinga postanowiła, że Jasełka w katedrze wawelskiej muszą być najpiękniejsze i pewnie słowa jej się sprawdzą, bo nie szczędzi starań ani kosztu. Już od całych miesięcy, u biegłych snycerzy zamówiła posągi drewniane, mające przedstawiać Boskie Dzieciątko i Jego Matkę, św. Józefa, co stoi pod kominem, Pasterzy i Trzech Króli, Heroda ze Śmiercią i cały chór Aniołów. Wszystkim tym osóbkom ślicznie pomalowano twarze i ubrania, wedle których teraz panie przykrawają i szyją długie, prawdziwe ubiory. A nieladajakie one będą. Królowa Kinga na ich sporządzenie oddaje własne zasoby. Kazała pootwierać skrzynie, które są istnym skarbcem, bo z Węgier przywiozła cesarską wyprawę. Najpiękniejszą swoją suknię, purpurową z perłami, włożyła Najświętszej Pannie, a dla Króli idą świetne lamy, aksamity, kosztowne pióra, wszystkie zaś owe gwiazdy i promienie są z prawdziwego złota; słowem, co się robi, to po królewsku.

A przytem jest w tych Jasełkach tajemnica, wielka niespodzianka dla mieszkańców Krakowa. Oprócz Przenajświętszej Rodziny, której się tknąć nie śmiano, wszystkie inne osóbki ruszają się, jakby żywe: Pasterze chodzą, Królowie klękają na sprężynach, Śmierć macha kosą, Herod gubi głowę, Aniołkowie trzepocą skrzydełkami. Dziwy!

W tej chwili biskup Prandota przystąpił do królowej:

— Udadzą się Jasełka — mówił. — Figury jak ulane. Ale nie dopatruję bydlątek, wołu, osła? A przecie i to potrzebne.

— O! — zawołała królowa — ucieszno mi, że i na tak ostry dowcip, jak wasz, ks. biskupie, znalazła się łapka. A ktoby strugał z drzewa, czego pełne obory? W naszym żłobku nie będzie innego bydełka jeno żywe, żywiusieńkie, jak tam, w Betleem.

— Będzie nawet jeszcze coś trefniejszego — dodał król znacząco.

— Ach, nie gadajcie, nie gadajcie! Przecież to są misteria (tajemnice) dla całego Krakowa! — przerwała przestraszona królowa, kładąc na ustach paluszek wysmukły i blady, jak pąk nierozwiniętej lilii.

— Misteria... misteria... — powtórzył Bolesław z przekąsem. — Ja dla mego biskupa nie mogę



Anioł pasterzom mówił...

mieć misteriów. Moje złota króleweczko mówił do żony, składając pokornie ręce — pozwól powiedzieć. On (szyję dam za to) nikomu nie wygada. Otóż, słuchaj dobrodzieju — mówił, zwracając się do biskupa: — W orszaku Trzech Króli, będzie... no, zgadnij co? Aha! nie zgadniesz i za sto lat. Będzie... wielbłąd! Wiesz, ten wielbłąd, którego Daniel Halicki przysłał nam w podarunku.

— Wiem, że przysłał, ale mi ciężko wyrozumieć, skąd on sam do niego przyszedł?

— Skąd przyszedł? A, to bardzo ciekawa historya. To zdobycz po Tatarach, pierwsza i kto wie, czy nie jedyna dotąd zdobycz, bo u nich niema człowiek co zabierać, chyba to, co drugim pokradli. A już co wielbłąd, to ich własny, tego u nas nie znaleźć. Odnaleźli go na pobojowisku, pomiędzy trupami, bo taki był porąbany, że już ledwiusieńko dychał. Ale naszym okrutnie się to monstrum podobało, jak zaczęli nacierać i obwiązywać po końsku i po człowieczemu, tak się i wylizał biedaczysko, a ten poczciwy Daniel nie miał nic pilniejszego, jak nam się pochwalić z tym podarkiem.

— A to będzie przednie! — zawołał biskup ucieszony.

— Nietylko przednie — ciągnął dalej Bolesław — ale i w samo sedno trafione, bo tylko uważ: to zupełnie tak się złoży, jakby jeden z owych Trzech Króli prosto z pustyni na onym cudaku przycwałował.

— Prawda, prawda — potakiwał Prandota. — Mnie się widzi, że od Mieczysława Pierwszego, nikt u nas nie chował wielbłąda, bo że Mieczysław chował to stoi w starych skryptach. Sam czytałem.

— Tak? Już wtedy? Więc my nie będziemy pierwsi? Szkoda! — podjął król nieco zmartwiony.

— O! już o tamtym wszyscy zapomnieli — pocieszała królowa.

A biskup jej pomagał, mówiąc:

— Nikomu nie piśniemy o Mieczysławie, to jakby i nie było.

Do wieczerzy wigilijnej na zamku paręset osób zasiadło. W sianie, zaścielającym stoły, goście poznajdowali upominki. Ryby szły nieskończoną koleją, na wety zjawiły się powszechnie pożądane kluski z makiem, poczem goście długo jeszcze siedzieli, przegryzając orzechy i skracając godziny budującą, prawdziwie postną pogawędką.

Nakoniec uderzyła dwudziesta trzecia godzina ostatnia przed północą. Całe zgromadzenie z wielkim szumem powstało i szykując się w pary, z książętami na czele, przeszło do katedry, gdzie biskupi i kler niezliczony odprawili Pasterkę.

Świątynia gorzała od świateł, kłębiła się od kadzideł, a rozwieszone w presbiteryum tajemnicze zasłony podniecały ciekawość tysiącznych, pałających oczu. Ledwie ostatnie słowo kapłanów ucichło, wszystkie piersi wybuchnęły okrzykiem

kolendy, najradośniejszej podobno muzyki, jaką ludzie kiedykolwiek stworzyli. Jest w rytmie, stylu i zakroju kolendy, jakaś tryumfalność, a przytem jakaś niewinność, których osobliwsze połączenie było pierwej nieznane i nigdy już potem się nie odnalazło. Rzekłbyś piosnka, podsłuchana ze światów nietylko szczęśliwszych, ale i poczciwszych.

Tymczasem zasłony spadły, ukazała się cudowna stajenka z Gwiazdą, gorejącą wśród obłoków malowanych, piętrzących się aż pod sklepienia i zatłoczonych całemi hufcami Aniołów. Przy muzyce fletów i piszczałek, zaczęli przeciągać Pasterze; potem, przy ogłuszającem biciu w kotły, wystąpili Trzej Królowie z orszakami, a nakoniec zjawił się i wielbłąd. Na jego widok, powstał okrzyk niesłychanego podziwu, który omal nie sprawił popłochu, bo przed nieznaną „bestyą", wszyscy się usuwali. Jeden tylko Braciszek Benedykt, zamiast ustępować, wyskoczył z pomiędzy tłumu, przystąpił do wielbłąda i śmiało głaszcząc go, zawołał:

— A, jak się masz? Nie wiedziałem że mam i takiego braciszka pomiędzy stworzeniami Boskiemi.

A kiedy zwierz, nieco spłoszony zaczął się cofać i szyją wykręcać, odważny Brat Benedykt wyrwał uzdę z ręki małego Greczyna, co prowadził wielbłąda i gwałtem pociąga do Żłóbka, krzycząc:

— Wio! Wio! A pójdźże do twego Stworzyciela, mój garbusku, patrz jeno, co tam już bydląt pcha się do Stajenki. Czego masz być gorszy od tych wszystkich osłów na czterech i na dwóch nogach! Naprzykład odemnie?

Śmiechy, klaskania, wesołość przeszły w istny szał. Tłumy wtargnęły do presbiteryum, zalały stopnie tronów biskupich i książęcych; ludzie wisieli na filarach i rzeźbach; mówiono, że kamienna posadzka zaklęsła się w kilku miejscach. Słowem, królewskie Jasełka zrobiły wrażenie tak wielkie, jakiego najstarsi ludzie nie pamiętali, tak wielkie, że Kinga zaczęła je sobie wyrzucać, bo inne kościoły krakowskie stały tej nocy pustką, gdy w katedrze się tłoczono. Dla wynagrodzenia tej krzywdy, oboje królestwo, otoczeni dworem, zeszli z Wawelu na miasto; przez całe trzy dni świąteczne odwiedzali kościoły, bawiąc się między ludem i chwaląc wszystkie inne Jasełka. Bo też wszędzie było coś do podziwienia: tu ptaszki wypuszczono z klatek, tam ciastka rzucano z ambon, owdzie „Rzeź niewiniątek", odgrywana przez mieszczki, dziatwę i żołdaków, zaczynała się lamentem a kończyła niezmiernym śmiechem, kiedy dzieci, srodze pozabijane, zaczęły zmartwychwstawać i żołnierzom płatać psikusy. Wszystko to przy nieustannem biciu w kilkadziesiąt dzwonów, przy brzękliwej muzyce, a nadewszystko przy jedzeniu i piciu, które się rozkładało wszędzie: na progach, na małych placykach, a nawet na stopniach ołtarzy.

A duchowieństwo patrzało na to przez szpary, dobrze rozumiejąc, że „radość i wiara — nierozłączona para"; że „kto ma nadzieję, ten i w łzach się śmieje"; a na koniec, że „niema miłości, bez poufałości".

Deotyma.

Choinka.

Wzeszłaś Gwiazdko! Betleemska Gwiazdo!
I znów serce zabiło pragnieniem...
Myśl w rodzinne uleciała gniazdo,
Drogie kąty objęła wspomnieniem
I zaczęła na progu się żalić,
By — jak dziecku — choinkę zapalić.

I poznali ją ludzie — swojacy,
I zrobili jej miejsce za stołem,
Biały chlebuś podali na tacy,
Z wyrzeźbionym pośrodku aniołem,
I zaczęli jej nucić kolendą,
I nie czuła, że dziś jest przybłędą!

Praprawnuczko starych barci, sosen,
Jakie echa żegnały cię z boru,
Że aż dotąd grasz pobudką wiosen,
Szumisz nutą ojcowskiego dworu?
Że cię dotąd noszę na źrenicy
W złotej łunie, wśród białej świetlicy?

Widzę ciebie pośrodku komnaty
Rozbłyszczonną, naszych drzewin chłopko!
Strojną w barwne, opłatkowe „światy",
Z kołysaną u gałązek szopką
I z Dzieciątkiem, złożonem na sianko,
Śpiącem cicho pod białą sukmanką!



W żłobie leży....

Widzę ciebie, jak w złotej oprzędzi
Anioł-Zwiastun trzepoce w skrzydełka,
Na żłobkowej przysiada krawędzi,
Betleemskie rozkłada Jasełka,
I pastuszków oglądam, i króle,
Hojne dare niosących w szkatule.

Widzę ciebie i wszystkich, co kołem
Pod twe zielne przypadli igliwie —
Jak się głowy i czoła za czołem
Chylą, niby kłos żrały na niwie —
Jak łzy świecą pod wosków twych łuną,
A pierś każda jedną dzwoni struną!

Widzę ciebie, i siebie chłopięciem,
I białego dziadulka z kosturem,
I babunię przed Bożem Dziecięciem,
I dwór cały śpiewający chórem,
I konika siwego z siodełkiem,
Co go anioł przyniósł pod skrzydełkiem.

Moje dobre, o złote ty drzewko!
Ja to wszystko mam do dziś pod duszą —
I czapeczkę z różową podszewką,
I tę chatkę z jaworem i gruszą,
I fuzyjkę, i chłopców tych z cyny
Do ostatniej zachowam godziny.

Kazimierz Laskowski.

Z Jeruzalem do Betleem.

W noc wigilijną.

Już od rana, w wigilię Bożego Narodzenia, droga z Jeruzalem do Betleem zapełnia się coraz więcej licznymi pielgrzymami. Pieszo, konno, na osłach i wielbłądach, jako też drogą kołową, zdążają tłumy, należące do różnych sfer i różnych narodowości. Pstrej rozmaitości ubiorów wtóruje podobna również rozmaitość języków. Droga pagórkowata, czasami, wskutek padających już w tym czasie deszczów, bywa nawet dość przykra. Lecz zapomina się o trudach, jeśli się pomyśli, że tędy zdążała Najświętsza Dziewica ze Swym Oblubieńcem, że wkrótce tą drogą również przechodzili Trzej mędrcy ze Wschodu, szukając Objawionej Prawdy. Tradycya uświęciła tę drogę licznemi

pamiątkami. Z tych tutaj wspomnę o pagórku, na którym spoczywała Święta Rodzina. Miejsce to tak uświęciła tradycya, że dziś wypoczywa na niem, choćby na jedną minutę, każdy podróżny, pieszy czy przejezdny, chrześcianin czy muzułmanin. Po przebyciu kilku pagórków, jeszcze przechodzi się obok grobu Racheli, żony Jakubowej, o której nasza pieśń mówi: „W Ramie głosy pod niebiosy wzbijają się Racheli, gdy swe syny, bez przyczyny, w krwawej widzi kąpieli“. Wreszcie po 1 godzinnej drodze pieszo z Jeruzalem, staje się w miasteczku Betleem. Już widok tego miasteczka tak bardzo nastraja i podnosi ducha, a cóż dopiero, gdy zbliżymy się i wejdziemy do groty Narodzenia Zbawiciela świata.

Okolica Betleem, z wapiennemi wzgórkami, posiada bardzo wiele wydrążeń skalistych, czyli grot, które służą pasterzom za schroniska w czasie deszczu i w nocy, a podróżnym krajowcom za izby noclegowe. Nawet Europejczycy nocują w takich grotach, albo w grobach, jeśli nie chcą wozić ze sobą namiotów. Zdarzało mi się dość często przebywać w takich grotach i grobach, do których w zimie, t. j. w porze deszczowej, chroni się człowiek i dzikie zwierzę również. To też nim się do takiej groty wejdzie, wpierw się rozgląda, czy nie jest już zajęta przez innych mieszkańców. Wejście do groty jest zupełnie otwarte, więc w nocy trzeba go pilnować przed nowymi przybyszami. Do takiej groty, nieco po za miastem będącej, schroniła się N. M. Panna ze ś. Józefem, bo dla nich, jako dla ubogich, nie było miejsca w mieście. W takiej podziemnej grocie przyszedł na świat Zbawiciel.

Już w r. 327 zbudowała nad grotą Ś-ta Helena wspaniałą bazylikę. Po różnych zburzeniach i zmianach losów, wznosi się i dzisiaj nad ową grotą siedmionawowa bazylika, lecz strasznie opuszczona i zaniedbana. Z tej bazyliki prowadzą schody do groty i tu, przy wejściu, spostrzega się ołtarz z napisem na srebrnej gwieździe: „Tu narodził się Zbawiciel świata“. Do tej groty zdążają co roku tysiące pielgrzymów z całego świata, zarówno chrześciańskich, jak i muzułmańskich. Zwłaszcza zaś w wigilię Bożego Narodzenia staje się miasteczko i grota widownią wspaniałych uroczystości. Około południa napływ pielgrzymów wzrasta nadzwyczajnie. Mieszkańcy wypełniają szczelnie okna i dachy domów, przypatrując się pstrej masie różnych narodowości. Wojsko tureckie ustawia się na placu przed kościołem dla pilnowania porządku i tworzenia asysty patryarsze jerozolimskiemu, który przybywa tutaj o godz. 3 po południu. Po powitaniu dostojnego gościa przez miejscowe duchowieństwo, wyrusza procesya szpalerem, tworzonym przez wojsko, do świątyni Pańskiej, gdzie odbywają się Nieszpory w kościele Ś-tej Katarzyny, należącym wyłącznie do katolików a odgraniczonym tylko ścianą od kościoła Narodzenia Zbawiciela. Około 12 w nocy, tłumy pielgrzymów wypełniają kościół i świętą grotę. Wszystko korzy się przed obliczem Stwórcy, pragnąc oddać cześć, hołd i uwielbienie swemu Bogu i Zbawicielowi wraz z aniołami, pastuszkami i Trzema Królami.

O północy rozpoczyna się Msza św. i wtedy ciche to ustronie zamienia się jakby w nadziemską, niebiańską krainę. Tak zapomina się tu o wszystkiem, co dręczy i boli, że mimowoli wyrywa się głos z duszy: „Panie, dobrze nam tutaj“. Od północy, aż do godz. 3—4-ej po południu dnia następnego, odprawiają się bez przerwy Msze św. Rozbrzmiewający hymn anielski „Gloria in excelsis Deo“ i świadomość miejsca świętego, budzi tak podniosłe uczucia, że pozostawiają one w duszy ślad nigdy nie zatarty.

Jak rozumieć oświatę.

Dawno już minęły te czasy, kiedy oświata uważaną była tylko jako przywilej wyższych warstw społecznych. Dziś przeciwnie, rozbrzmiewają wszędzie nawoływania do zdobywania sobie oświaty i do szerzenia jej we wszystkich warstwach społecznych. Nauczyli się też ludzie cenić oświatę i garnąć się do niej, wszyscy z gorliwością i zapałem, mężczyźni i kobiety, starzy i młodzi. Jakże często się dziś zdarza, że rodzice nie szczędzą zabiegów, ograniczają własne potrzeby, narażają się na kłopoty i niewygody, byle tylko dać dzieciom na drogę ich życia skarb oświaty; tak samo widzimy znowu całe zastępy młodzieży, które lata całe pracują nad siły, nie rzadko głodem przymierając, aby tylko dojść do tej wyżyny, gdzie słońce oświaty najjaśniej przyświeca.

Oświata jest pojęciem ogólnem, bardzo szerokiem, mieszczącem w sobie wiele pojęć poszczególnych i ciaśniejszych, a wskutek tego bywa bardzo często pojmowana jednostronnie lub fałszywie.

Jednostronnem zapatrywaniem na istotę oświaty jest z pewnością mniemanie, bardzo szeroko rozpowszechnione, że oświata znaczy tyle, co wy-



Chór anielski.

kształcenie dokładne w pewnym zawodzie. Wykształcenie fachowe należy wprawdzie do dziedziny oświaty, jak wogóle wszystko to, co umysł ludzki w jakimkolwiek kierunku oświeca, ale ono samo bynajmniej nie zapełnia pojęcia oświaty. Wiadomo przecież ogólnie, że nie każdy, dzielny zresztą w swoim zawodzie, rzemieślnik lub kupiec, a nawet lekarz lub adwokat, jest równocześnie światłym ze wszech miar człowiekiem.

Za ciasno pojmuje także oświatę, kto przez nią rozumie tylko znajomość ojczystego języka, a choćby i całokształtu historyi i literatury narodowej; taka oświata rodzinna stanowi już ogólniejsze i szersze pojęcie, ale nie wystarcza, aby oświecić człowieka wszechstronnie.

Już nietylko jednostronne, ale wprost błędne pojęcie o istocie oświaty mają ci, którzy mniemają, że polega ona na bezładnem napchaniu umysłu ludzkiego wszelkiemi możliwemi produktami literackim i na czytaniu książek wszystkich bez wyboru.

Zgubniejszem jeszcze w skutkach, a bardzo dziś rozpowszechnionem jest zapatrywanie, które wyklucza z dziedziny oświaty prawdy religijne, oparte na objawieniu nadprzyrodzonem.

Jakżeż więc rozumieć oświatę w całem tego słowa znaczeniu? Otóż winna ona być słońcem, oświecającem wszechstronnie ducha ludzkiego. Oświata winna człowiekowi otwierać oczy na cały otaczający go świat zewnętrzny, ukazywać mu prawidła jego bytu, jego celowość i piękność.

Za pomocą oświaty powinien człowiek poznać siebie samego, swoją godność i swoją wartość, a dalej jeszcze winien zrozumieć swoje stanowisko we wszechświecie, swój stosunek do Stwórcy, do bliźnich i do całego stworzenia.

Oświata ukazuje człowiekowi ludzkość w jej wiekowym pochodzie, w jej usiłowaniach w przeszłości i w jej pracach współczesnych, a daje mu wskazówki, jak on sam ma działać dla przyszłości.

Przez oświatę poznaje człowiek wzajemny stosunek narodów i społeczeństw, oraz własne stanowisko i obowiązki rozdzinne i społeczne wśród ludzkiego zbiorowiska, do którego z woli Boga należy.

Znamieniem człowieka światłego, to zn. posiadającego prawdziwą oświatę, jest to, że on wie, czem jest, czego powinien chcieć, dokąd dążyć, aby pozostać zawsze w harmonii z Bogiem, z ludźmi i z sobą samym, tj. aby być szczęśliwym.

Oświata wprawdzie działa bezpośrednio tylko na jedną władzę duszy, na władzę poznania, ale, oświecając umysł, działa pośrednio także na uczucie i wolę. Uczucia człowieka bez prawdziwej oświaty bywają poziome i niepohamowane; wola chociaż silna, źle się pokierować może, jeśli jej umysł światły nie poprowadzi. Któżby nie przyznał, że tak pojęta oświata to skarb prawdziwy, który zdobywać warto, choćby z wielkim trudem i mozołem.

I rzecz dziwna, że taka oświata wszechstronna i prawdziwa dla każdego człowieka jest dostępną, tak samo jak słońce, które zarówno świeci dla maluczkich, jak dla wielkich tego świata.

Nie ma wątpliwości, że taką tylko oświatę można mieć na myśli, mówiąc tak często dziś powtarzane słowa, że „oświata ludu dokona cudu". O takiej zapewne myślał wieszcz nasz, kiedy wołał:

„Niechaj żywi nie tracą nadziei,
I przed narodem niosą oświaty kaganiec".

Właśnie dzisiaj, kiedy dążenie do oświaty jest tak ogólne, ważnem jest bardzo, aby jasne i prawdziwe mieć o jej istocie i znaczeniu dla człowieka pojęcie. Nam zaś ono przedewszystkiem potrzebne, skoro celem naszego zrzeszania się jest zdobywanie oświaty dla siebie i szerzenie jej wśród wszystkich.

Jasne pojęcie o tem, co przez oświatę rozumieć należy, najlepiej nam dopomoże do wynalezienia i używania odpowiednich środków celem szerzenia prawdziwej oświaty, tego duchowego słońca, które Bóg dla ludzkości zapalił.

MIGAWKI.

Noc prześladowań.

(Z przygód berlińskich).

Byłem w tym tygodniu w Berlinie i w jednym z teatrów spostrzegłem dobrego znajomego z Poznania Dzieliło nas kilka foteli. Poważny obywatel poznański, na mój uprzejmy ukłon odpowiedział suchem skinieniem głowy i szybko zwrócił się w przeciwną stronę, jakby mnie więcej widzieć nie chciał. On, który zwyczajnie z wyszukaną grzecznością przystępuje do mnie, ile razy mnie zobaczy i wypytuje o wszystko i mówi słodkie słówka, dziś odwraca się odemnie, jakby się obawiał, abym go nie naciągnął na grubszą pożyczkę. Ale w antrakcie wyjaśniło mi się wszystko. Mój poważny znajomy nie był sam. Przyszedł do teatru z bardzo przystojną kobieciną, wykwintnie ubraną Poznanianką i nie chciał,



Przy choince.

aby go z nią widziano. Bo w domu została żona.

Zrozumiałem odrazu sytuacyę i ażeby poważnemu obywatelowi nie psuć zabawy, postanowiłem go unikać. Na pauzie zostawałem na miejscu, ile razy widziałem, że mój znajomy wychodzi ze swoją towarzyszką, a zostawał on w sali, to ja wychodziłem. Mimo to pech sprawił, że dwa razy zeszliśmy się, jakby umyślnie, raz przy bufecie a raz w garderobie, bo na jego czy moje nieszczęście wierzchnie nasze odzienie było u tej samej garderobianej. Ja wtedy udawałem, że go nie widzę, a on miał minę skazańca, prześladowanego przez los i mnie nie widział.

Uciekłem z teatru bardzo niekontent, a nie mogąc dostać dorożki, wpadłem do tramwaju. Lecz kto wchodzi za mną do tramwaju? Mój znajomy z towarzyszką. Zrobiło mi się zimno, a potem gorąco, lecz nie mogąc ich przecież wyrzucić z tramwaju, odwróciłem głowę, wyglądając niby na ulicę. Mój znajomy, choć krótkowidzący, poznał mnie zapewne, bo czmychnął z towarzyszką z tramwaju, pomimo, że było w nim dużo miejsca i mógł jechać wcale wygodnie, gdyby — mnie tam nie było. Odetchnąłem.

Jadąc w tramwaju namyślałem się, do której kawiarni należałoby wstąpić, aby nie zetknąć się z ową parką, która mnie dziś prześladuje, a której zdaje się, że ja ją prześladuję. A ja przecież nie chcę ich widzieć, nie chcę, ażeby oni widzieli, że ja ich widzę, nie chcę — jednem słowem — przeszkadzać im, bo znam się na rzeczy i rozumiem ich bardzo dobrze.

Tak medytując wysiadłem z tramwaju i wstąpiłem do małej, nieznanej prawie kawiarni, do której chyba oni nie przyjdą. Ale pomyliłem się. Zaledwie podano mi herbatę, gdy otworzyły się drzwi: w nich stanęła dama a za nią mój dobry znajomy z Poznania.

Byłem wściekły... A co dopiero on?!...

— Czego ten człowiek dziś chce odemnie? — myślałem, obrzucając go wzrokiem pełnym wyrzutów. On zapewne myślał tak samo mierząc mnie z góry na dół. Cofnął się z oburzeniem z kawiarni wraz ze swoją towarzyszką, a ja odetchnąłem znowu. Była bowiem chwila, w której zdawało mi się, że on mnie dziś zastrzeli.

Wyszedłem z kawiarni i dopiero po drodze przypomniałem sobie, że miałem przeczytać dzienniki i tylko przez roztargnienie nie czytałem ich jeszcze wcale. Musiałem więc wstąpić po drodze do innej kawiarni. Ale, do której? Przecież w każdej z nich mogłem zastać prześladującą mnie dziś parkę poznańskich znajomych. Stanąłem więc przed jedną kawiarnią, potem przed drugą trzecią i piątą, przed każdą stałem przez jakiś czas i marzłem namyślając się czy mam wejść, czy nie wejść, czy oni będą tam, czy nie będą. Aż do szóstej kawiarni wstąpiłem w szewskiej pasyi i — naturalnie zastałem ich znowu. Struchlałem, patrząc na straszny wzrok mego znajomego Bezwiednie wypowiedziałem słówko: „Pardon"! i cofnąłem się na ulicę. Prawie nieprzytomnie szedłem już do domu a zły byłem, jak kobieta, której złamał się przedni własny ząb. Poprostu zamknęli mi cały Berlin, bo nigdzie wstąpić nie mogę. I czemu? Co ja temu winien? Chciałbym przeczytać dzienniki, a nie mogę. Muszę wracać do swego hotelu, choć spać jeszcze nie chcę.

Tej nocy spotkałem ich jeszcze (i oni mnie) w kawiarni, w automacie bufetowym, na ulicy, a wreszcie przed bramą mojego hotelu. To, żeśmy się wzajemnie nie zastrzelili tej nocy, było czystym przypadkiem.

Gdym w dwa dni potem wracał do Poznania, wprowadził do mego przedziału konduktor tę samą parę a mnie wskazał inny przedział. Ale podczas tej przeprowadzki widzieliśmy się znowu.

Nie mam dziś w świecie większego wroga nad mego znajomego, a klnę się na wszystko, żem jest niewinny w całej aferze, jak noworodek ślepo urodzony. *Kl.*

* *

O dobrym użytku czasu.

Wielu myślicieli i pedagogów (wychowawców) radzi, aby uwagi, jakie robimy nad sobą, czynności nasze, doznane wrażenia i zdarzenia, które nas spotykają, spisywać starannie w umyślnie do tego sporządzonym pamiętniku. Sądzimy przecie, że byłoby to niejednemu rzeczą zbyt uciążliwą, a przytem zabierałoby to za wiele czasu; prócz tego do pisania z korzyścią pamiętnika potrzeba koniecznie znacznego wykształcenia umysłowego, dużo zdrowego, zimnego rozsądku i dobrej z piórem znajomości — a zatem z pamiętnikami bądźmy ostrożni.

Jedno tylko zapisywanie koniecznie jest potrzebne w każdem położeniu — i to zapisywanie dochodów i rozchodów, czyli prowadzenia ksiąg rachunkowych. Akuratność taka pośrednio przyczynia się także do naszego doskonalenia moralnego, bo przyzwyczajenie zdawania sobie codziennego rachunku z finansowego położenia przez porównanie dochodów i wydatków tworzy istotnie

naukę ekonomii domowej, jest najpewniejszym środkiem zachowania majątku, zapewnienia sobie dobrobytu i spokoju. Iluż ludzi, więcej nieroztropnych, niż występnych, iluż ojców rodzin zacnych pod wielu względami, straciło swe mienie i skończyło na samobójstwie, nie mogąc przeżyć nędzy a niekiedy hańby, sprowadzonej na siebie przez brak prowadzenia ścisłej rachunkowości. Prowadzenie ksiąg rachunkowych, oświeca nas o złym stanie interesów i skłania do zapobieżeżenia zawczasu upadkowi majątkowemu.

Już nawet u Rzymian wszyscy ojcowie rodziny zmuszani byli do utrzymywania ksiąg, w których ściśle swe dochody i rozchody, swe długi i oszczędności spisywać musieli. W niektórych okolicznościach były te księgi prywatne okazywane przed trybunałem i świadczyły o godności lub lekkomyślności oskarżonego.

Sławny minister francuski, Sully, był od dzieciństwa przyzwyczajony do regularnego zapisywania dochodów i wydatków swoich, to też zostawszy ministrem finansów, umiał zaprowadzić w administracyi finansowej porządek tak doskonały, iż przyczynił się niemało do świetności rządów swojego króla Henryka IV-go.

Tylko przez dokładny obrachunek i dokładną znajomość własnych interesów nabywamy mądrości niewydawania więcej nadto, co jest koniecznie potrzebnem i zastosowania potrzeb naszych do dochodów, oraz unikamy tej nieomal ogólnej u nas wady: życia nad stan i możność, a uczymy się wystrzegać robienia długów, które są najsroższą plagą w gospodarstwie domowem, niewyczerpanem źródłem trosk, strat i kłopotów.

Reforma „warkoczowa“ w wojsku chińskim.

Przed kilku tygodniami bawił w Wiedniu na czele wojskowej misyi chińskiej, książę Tsai-Tao. Książę, jak każdy prawy Chińczyk, nosił piękny, misternie zap'eciony warkocz. W czasie podróży powrotnej jednak, książę obciął warkocz i stanął w Pekinie bez tej ozdoby głowy. Postępowi Chińczycy stwierdzają ten fakt z zadowoleniem, widzą w tem bowiem postęp, szczególnie jednak uradowało to oficerów chińskich, oczekują bowiem, że obecnie nastąpi reforma „warkoczowa“ w armii chińskiej i sądzą, że niebawem będą już mogli chodzić bez warkoczów, których, zwłaszcza młodzi, stykający się z Europejczykami, obecnie już nieco się wstydzą.

Nasze ilustracye.

Chwała Panu na wysokości, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli!... — rozebrzmiał świat cały i w serca skołatanej ludzkości wstąpiła nadzieja, wesele. Booto ANIOŁ PASTERZOM MÓWIŁ, obwieścił nowinę radosną, że „Chrystus nam się narodził, by lud ziemski oswobodził“, a zaś drugi anioł złotopióry do niebiańskich zasiadł organ, i z pod palcy jego płynie kolenda pełna niewysłowionego wesela: W ŻŁOBIE LEŻY... A wtóruje mu, zawodząc pienia słodkie, cudne CHÓR ANIELSKI.

Gwiazdka! Jakże czarowne to słowo jedno! Ile wspomnień uroczych niesie ono starszym, ile dreszczów rozkosznych wywołuje u malców.

Z jakim drżeniem oczekują nasi milusińscy przybycia tradycyjnego „gwiazdora“. A gdy ów gwiazdor okaże się hojny i przyniesie z sobą i choinkę i zabawek i smakołyków dużo, ileż to szczęścia i wesela w młodociaue wstępuje serduszka. PRZY CHOINCE — widzimy właśnie dwoje rozweselonych dzieci, otoczonych mnóstwem podarków i płatających zdziwionemu tym wszystkim kotkowi sowizdrzalskiego figla.

DLA ROZRYWKI

Tablica czarodziejska.

Podług przytoczonej poniżej tablicy można się dowiedzieć, ile kto ma lat, chociażby osoba była nieznajomą; można się dowiedzieć nadto, ile kto ma pieniędzy w kieszeni lub w domu, chociażby ta osoba w czasie wróżby znajdowała się o setki mil od domu.

Robi się to w sposób następujący:

Niech osoba, którą badasz, przejrzy z uwagą wszystkie siedm tabliczek i pokaże ci te tylko, w której zobaczy te cyfry lat lub pieniędzy, o jakie się pytasz. Zanotuj sobie w pamięci numery wskazanych tabliczek i weź z każdej z nich po jednej pierwszej liczbie, wszystkie te liczby dodaj ze sobą, a wtedy suma da ci cyfrę lat lub pieniędzy, o któreś się pytał.

Przypuśćmy, że mam 9 marek. Przeglądam 7 tablic i powiadam ci, że w jednej z nich jest cyfra moich pieniędzy, a w innej nie ma jej. Ponieważ 9 znajduje się tylko w dwóch tablicach: 1-szej i 4-tej, na pierwszej zaś pierwszą liczbą jest 1, a na czwartej 8 — to suma 9 da liczbę obraną.

Inny przykład. Przypuśćmy, że masz 56 lat; przeglądasz wszystkie tabliczki i mówisz, że liczba poszukiwana jest na 4, 5 i 6-tej. Suma pierwszych liczb na tych tabliczkach, t. j. 8+16+32, daje w istocie 56.

A otóż i tablice.

Tablica I.

1, 3, 5, 7, 9, 11, 13, 15, 17, 19, 21, 23, 25, 27, 29, 31, 33, 35, 37, 39, 41, 43, 45, 47, 49, 51, 53, 55, 57, 59, 61, 63, 65, 67, 69, 71, 73, 75, 77, 79, 81, 83, 85, 87, 89, 91, 93, 95, 97, 99, 101, 103, 105, 107, 109, 111, 113, 115, 117, 119, 121, 123, 125, 127.

Tablica II.

2, 3, 6, 7, 10, 11, 14, 15, 18, 19, 22, 23, 26, 27, 30, 31, 34, 35, 38, 39, 42, 43, 46, 47, 50, 51, 54, 55, 58, 59, 62, 63, 66, 67, 70, 71, 74, 75, 78, 79, 82, 83, 86, 87, 90, 91, 92, 95, 98, 99, 102, 103, 106, 107, 110, 111, 114, 115, 118, 119, 122, 123, 126, 127.

Tablica III.

4, 5, 6, 7, 12, 13, 14, 15, 20, 21, 22, 23, 28, 29, 30, 31, 36, 37, 38, 39, 44, 45, 46, 47, 52, 53, 54, 55, 60, 61, 62, 63, 68, 69, 70, 71, 76, 77, 78, 79, 84, 85, 86, 87, 92, 93, 94, 95, 100, 101, 102, 103, 108, 109, 110, 111, 116, 117, 118, 119, 124, 125, 126, 127.

Tablica IV.

8, 9, 10, 11, 12, 13, 14, 15, 24, 25, 26, 27, 28, 29, 30, 31, 40, 41, 42, 43, 44, 45, 46, 47, 56, 57, 58, 59, 60, 61, 62, 63, 72, 73, 74, 75, 76, 77, 78, 79, 88, 89, 90, 91, 92, 93, 94, 95, 104, 105, 106, 107, 108, 109, 110, 111, 120, 121, 122, 123, 124, 125, 126, 127.

Tablica V.

16, 17, 18, 19, 20, 21, 22, 23, 24, 25, 26, 27, 28, 29, 30, 31, 48, 49, 50, 51, 52, 53, 54, 55, 56, 57, 58, 59, 60, 61, 62, 63, 80, 81, 82, 83, 84, 85, 86, 87, 88, 89, 90, 91, 92, 93, 94, 95, 112, 113, 114, 115, 116, 117, 118, 119, 120, 121, 122, 123, 124, 125, 126, 127.

Tablica VI.

32, 33, 34, 35, 36, 37, 38, 39, 40, 41, 42, 43, 44, 45, 46, 47, 48, 49, 50, 51, 52, 53, 54 55, 56, 57, 58, 59, 60, 61, 62, 63, 96, 97, 98, 99, 100, 101, 102, 103, 104, 105, 106, 107, 108, 109, 110, 111, 112, 113, 114, 115 116, 117, 118, 119, 120, 121, 122, 123, 124, 125, 126, 127.

Tablica VII.

64, 65, 66, 67, 68, 69, 70 71, 72, 73, 74, 75, 76, 77, 78, 79, 80, 81, 82, 83, 84, 85, 86, 87, 88, 89, 90, 91, 92, 93, 94, 95, 96, 97, 98, 99, 100, 101, 102, 103, 104, 105, 106, 107, 108, 109, 110, 111, 112, 113, 114, 115, 116, 117, 118, 119, 120, 121, 122, 123, 124, 125, 126, 127.

Łamigłówka do nagrody

Nadesłała czytel. A. Korolkiewiczowa z Kulikowa.

*	A				Rodzaj tańca.
R	*				Zagadka obrazkowa.
W		*			Rzeka w Polsce.
N			*		Cesarz rzymski.
S				*	Towarzystwo gimnastyczyczne.
I			*		Kraj w Azyi.
M		*			Owad dokuczliwy.
C	*				Codzienne pożywienie.
*	W				Dzieło Stwórcy.
A	*				Podniesienie do wyższej rangi.
Ś		*			Pada białymi płatkami.
P			*		Inaczej statua.
J				*	Statek spacerowy.

Litery oznaczone gwiazdkami należy czytać z góry do dołu.

Rozwiązania łamigłówki prosimy nadsyłać tylko na pocztówkach najpóźniej do 29. grudnia r. b. na ręce redakcyi.

Z rozwiązań trafnych 4 odznaczone zostaną nagrodą.

Nazwiska osób, które dobre nadeślą rozwiązania oraz tych, które otrzymają nagrodę, ogłosimy w numerze za dwa tygodnie.

Rozwiązanie

łamigłówki zamieszczonej w **nr.** 49:

E T N A
T R O N
N O T A
A N A M

Trafne rozwiązania nadesłali:

Z Galicyi:

pp. Janina Borucka, Tadeusz Biernakiewicz, Franciszek Biliński, Marya Budziszewska, Konstanty Cag, Marya Chciukówna, Michał Chciuk, Justyn Cholewik, Jan Czaja, Czytelnia Robotników Salinarnych w Wieliczce, Konstanty Finik, ks. kapucyn Floryan, Michał Geneja, J. Glücksmann, Marya Haass, Leonarda Hodolyówna, W. Hyla, Leszek Jaworski, Stanisław Karaś, Bolesław Kamecki, Tomasz Klus, Julian Krzysztofowicz, Wiśka Kurasiówna, Rom. Kulczycki, Franciszek Mally, Z. Maślakiewicz, Michał Mikoś, Wacław Nowosielecki, Karol Pacuła, Alina Panasiewiczówna, Franciszek Pawliczek, Józef Pończa Celestyn Schöffer, Feliks Ślusarczyk, Ferdynand Spilarewicz, Józefa Steindl, Natalia Szczepańska, Kazimierz Szeliga, Stanisław Szóstak, Walerya Tatara, Wł. Trybała, Anna Wełnianka, J. Wilusz, Adela Wiszniewska, Wanda Witkowska.

Z Księstwa Poznańskiego, Prus Zachodnich i Śląska:

pp. Jadwiga Adamczewska, Ludwik Bróździński, Stefania Chełmikowska, Stanisława Graczyk, Franciszka Gromadecka, Wincenty Herok, Seweryn Jakubowski, „Janek z pod Góry Przemysława“, Eleonora Jankowska, L. Jarosz, Jadwiga Jarysz, Halinka Jordanówna, Tadeusz Jordan, Michał Kempa, Wikcia Kiełpińska, Kierska, Kazimierz Kliszczyński, Konstancya Kolańczyk, Halina Konopińska, St. Kuśnierek, „Lotos“, Stela Mąkowska,W. Modrakowska, Czesław Musiał, Melania Nowak, Stanisław Pietrzak, Stefania Płazalska, Julia Płoszyńska, Ludwika Polaszyk, Tadeusz Przybyszewski, „Pustelnik z pod Środy“, St. Siarczyńska, Jadzia Szudrowicz, Tadeusz Węclewicz, Franciszek Woźnicki, Witosław i Bogusia Wróblewicz, Janinka i Zbichna Zięciak, Rafaela Zielińska.

Z obczyzny i zagranicy:

pp. Agnieszka Błaszczyk z Seichwitz (?), Stefania Dużyńska z Nowych Wielcy (Brandenburgia), Tadzio i Henryś Hankiewicz z Steglitz (pod Berlinem), Hieronim Jaworowski z Drezna, Edmund Sokołowski z Berlina, Emilia Świątkowska z Monachium, Marcia Wróbel z Berlina.

Nagrodę otrzymają:

pp. Franciszek Woźnicki z Poznania, Stanisława Graczyk z Żnina, Franciszek Molly z Grabownicy, Janina Barucka z Siedlisk (Galicya).

Redaktor odpowiedzialny Józef Zieliński w Poznaniu.
Czcionkami „Dziennika Poznańskiego".

DZIAŁ POWIEŚCIOWY

Conan Doyle.

Przygody brygadyera Gerarda.

Powieść z czasów napoleońskich.

NR 52

Bandyta „Uśmiechnięty".

Przez sześć miesięcy, od października 1810 do marca 1811 Anglicy trzymali nas w szachu w swych oszańcowaniach pod Torres-Vedras.

Żywność stawała się coraz szczuplejszą, a nasza wspaniała kawalerya niszczała wskutek braku furażu. Nim się skończyła zima, wyjedliśmy całą okolicę tak, iż nam samym nie pozostawało nic do jedzenia, aczkolwiek naszych ludzi wysyłaliśmy na wszystkie strony za prowiantem.

I dla najdzielniejszych z nas stało się jasnem, że nastała chwila odwrotu. Ja sam, panowie, byłem tego zdania.

Ale ten odwrót nie był takim łatwym. Nietylko, iż wojska nasze z powodu braku żywności były tak osłabione i znużone nieustannem czuwaniem, ale nieprzyjaciel wskutek naszej długiej bezczynności zyskał na odwadze.

Wellingtona, wodza Anglików, nie obawialiśmy się tak bardzo. Poznaliśmy go, coprawda, jako bardzo dzielnego i rozważnego dowódcę, ale brakowało mu przedsiębiorczości. Prócz tego w tym pustym kraju nie mógł nas dość szybko i energicznie ścigać.

Ale na skrzydłach i na tyłach naszej armii zebrały się nieprzeliczone masy milicyi portugalskiej, zbrojnych chłopów i gerylasów. Banda ta trzymała się przez całą zimę w przyzwoitej odległości, ale teraz, gdy konie nasze zaledwie powłóczyć mogły nogami, otaczały nasze straże przednie jak bąki, a życie człowieka, który dostał się w ich ręce, nie było warte ani szeląga.

Mógłbym wam, panowie, wymienić nazwiska kilkunastu oficerów, schwytanych wówczas przez nich, a z których każdy mógł jeszcze mówić o szczęściu, gdy jakaś kula z poza skały lub urwiska przeszyła jego głowę lub serce.

Niektórzy z nich zginęli tak straszną śmiercią, iż o ich zgonie nie wolno było nawet zawiadomić ich najbliższych krewnych. Wypadki takie zdarzały się tak często, a działały tak silnie na żołnierzy, iż żaden nie odważył się opuszczać obozu.

Słynnemi były okrucieństwa przywódcy gerylasów, zwanego Manuelo, z przydomkiem „Uśmiechnięty", a te napawały naszych ludzi ogromnym strachem.

Był to gruby, tłusty chłop o jowialnym wyglądzie, który z zuchwałą bandą ezyhał na naszem lewem skrzydle na nas w górach. Okrucieństwa i bezeceństwa tego opryszka zapełniłyby same całą książkę, posiadał bowiem wielką władzę, a umiał swych bandytów tak zorganizować, że dla nas było prawie niemożliwem przedostać się przez jego terytoryum. Dokonał tego przy pomocy nadzwyczaj surowej dyscypliny i pod groźbą najsurowszych kar.

Tymi środkami uczynił swą bandę postrachem nieprzyjaciela, a osiągnął przez to kilka niespodziewanych wyników, jak to zaraz panom opowiem. Kazał przecież osmagać swego własnego porucznika — ale o tem później. Odwrót połączony był z wielu trudnościami, ale nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że innego wyjścia niema.

Masséna kazał więc wysłać wszystkie bagaże z swej głównej kwatery Torres-Novas do Coimbry, pierwszego ufortyfikowanego miejsca na swej linii komunikacyjnej. Nie mogło się to stać bez zwrócenia uwagi, to też gerylasi zaczęli się coraz więcej zbliżać do naszych skrzydeł.

Jedna nasza dywizya, Clauzela, z brygadą kawaleryi pod Montbrunem, znajdowała się daleko na południu od rzeki Tajo, a trzeba ich było koniecznie zawiadomić o naszym zamierzonym odwrocie, gdyż inaczej pozostaliby bez obrony w samym środku kraju nieprzyjacielskiego.

Byłem bardzo zaciekawiony, jak sobie Masséna z tem poradzi i co pocznie, gdyż zwykli kuryerzy nie byliby się przedostali, a mniejsze oddziały byłyby z pewnością zniesione.

W jakikolwiek sposób trzeba ich było jednak zawiadomić, inaczej bowiem Francya byłaby o czterdzieści tysięcy ludzi uboższą.

Pomyślałem w końcu o tem, iż ja, pułkownik Gerard, będę miał zaszczyt dokonania czynu, który w życiu każdego innego człowieka stanowiłby koronę jego sławy, a który i w mem pełnem chwały istnieniu stoi na pierwszem miejscu.

Należałem wówczas do sztabu Massény. Miał jeszcze dwóch innych oficerów do swego osobistego rozporządzenia, również bardzo dzielnych i bardzo inteligentnych. Jeden nazywał się Cortex, drugi zaś Duplessis. Co do wieku, byli odemnie starsi, ale pod każdym względem młodsi.

Cortex był małym, czarnym człowiekiem, nadzwyczaj żywym i chyżym. Był to bardzo dzielny żołnierz, ale wskutek swej zarozumiałości nie do użycia. Według swego własnego zdania, był on pierwszym żołnierzem w armii.

Duplessis, jak ja sam, był Gaskończykiem, bardzo dobry chłopiec, jak wszyscy Gaskończycy.

Służbę pełniliśmy na zmianę, dzień po dniu,

W dniu, o którym mówię, służba przypadała na Cortexa. Widziałem go jeszcze przy śniadaniu, ale potem nie było widać ani jego, ani jego konia.

Masséna przez cały dzień znajdował się w swem zwykłem, ponurem usposobieniu. Spotrzebowywał wiele czasu na obserwowanie przez lunetę linii angielskich i ruchu statków na Tajo. Nie powiedział nam ani słowa o posłannictwie, z którem wysłał naszego kolegę, a nie było naszą rzeczą zapytać go się o to.

Następnej nocy, około godziny dwunastej, stałem przed głównym namiotem. Masséna wyszedł i stał pół godziny na jednem i tem samem miejscu bez ruchu, patrząc z skrzyżowanemi na piersiach ramionami przed siebie na wschód. Stał taki zimny i wyprężony, że otuloną w płaszcz tę postać, w trójgraniastym kapeluszu, można było uważać za jakiś posąg.

Na co patrzył, nie mogłem przeczuwać; wreszcie jednak wyrzucił z siebie straszne przekleństwo, odwrócił się, wszedł do namiotu i zaciągnął gwałtownie za sobą zasłonę.

Nazajutrz rano Duplessis, drugi adjutant, miał już od samego rana jakąś rozmowę z marszałkiem, po której nie było widać ani jego, ani jego konia.

Następnej nocy czuwałem w przedpokoju, Masséna przeszedł obok mnie, a ja spostrzegłem przez otwór, iż patrzał znowu na wschód, tak samo, jak poprzedniej nocy. Stał znowu pół godziny, jak czarny cień w ciemności. Następnie zawrócił, zaklął i poszedł do siebie.

Już zazwyczaj był starym mrukiem, ale gdy mu się coś nie udawało, mógł wpaść w taką wściekłość, jak cesarz sam.

Słyszałem, jak klął przez całą noc, tupał nogami ze złości, ale mnie nie wołał, a znałem go za dobrze, aby stanąć przed nim nie zawezwany.

Nazajutrz rano przyszła na mnie kolej, gdyż byłem jedynym adjutantem, który mu pozostawał. Byłem jego ulubionym adjutantem. Dzielnego żołnierza lubił zawsze. Zdaje mi się, że tego rana, gdy mnie do siebie zawezwał, łzy stały w jego czarnych oczach.

— Gerard! — rzekł. — Chodźno pan tutaj!

Uchwycił mnie, jak przyjaciela, za ramię i podprowadził mnie ku oknu, wychodzącemu na wschód.

Pod nami znajdował się obóz piechoty, poza nim była kawalerya z długimi szeregami poprzywiązywanych koni, dalej łańcuchy straży przednich, a za tem wielka, poprzecinana winnicami równina.

Poza równiną wznosił się łańcuch wzgórz, z którego wystawał silnie jeden wierzchołek. U stóp tych wzgórz rozścielał się las. Do tych wzgórz prowadziła jedna jedyna szeroka droga.

— To jest Sierra de Merodal — rzekł Masséna, wskazując na łańcuch wzgórz. — Czy widzisz pan tam co na górze?

Odpowiedziałem, iż nic dostrzedz nie mogę.

— A teraz? — zapytał, podawszy mi swoje szkła.

Przy pomocy szkieł rozpoznałem na szczycie największej góry jakieś małe wzniesienie, kupę kamieni czy drzewa.

— To, co pan tam widzisz — objaśniał Masséna — to stos drzewa, który ma służyć jako sygnał ogniowy. Ułożono go, gdy kraj znajdował się jeszcze w naszem posiadaniu, a teraz, gdy się tutaj już dłużej utrzymać nie możemy, znajduje się jeszcze na nasze szczęście na swojem miejscu. Ten stos musi być dzisiejszej nocy podpalony, Gerard. Tego żąda od nas Francya, tego żąda cesarz, tego żąda armia! Dwóch pańskich kolegów udało się tam już w tym celu, ale żaden z nich nie dotarł do szczytu. Dziś kolej przypada na pana, a mam nadzieję, iż pan będziesz miał więcej szczęścia.

Nie przystoi dla żołnierza pytać się o powody rozkazu, dlatego też chciałem już wychodzić, gdy marszałek położył mi rękę na ramieniu i zatrzymał mnie.

— Powiem panu wszystko — rzekł — abyś pan wiedział, dla jakiego wielkiego zadania narażasz pan swoje życie. O pięćdziesiąt mil na południe od nas po drugiej stronie Tajo znajduje się generał Clausel ze swym wojskiem. Obóz jego rozłożony jest w pobliżu góry Sierra d' Ossa. Na szczycie tej góry ułożony jest również stos, a przynim stoi warta. Umówiliśmy się, że jeżeli o północy zobaczy nasz ogień, da w odpowiedzi sygnał swoim ogniem i natychmiast rozpocznie odwrót ku głównej armii. Jeżeli nie wyruszy natychmiast, będzie musiał pozostać. Już od dwóch dni staram się o danie mu umówionego sygnału. Dziś musi go otrzymać, gdyż inaczej armia jego pozostanie i będzie rozbita w puch.

Panowie, serce zaczęło mi walić, jak młotem, z dumy i radości, gdy się dowiedziałem, jak zaszczytnem zadaniem los mnie obdarzył! Gdy powrócę z życiem, do mego wieńca wawrzynowego przybędzie znowu jeden listek. Gdybym jednak zginął, to śmierć moja byłaby godną mej karyery.

Nie rzekłem ani słowa, ale sądzę, iż wszystkie te szlachetne myśli odbiły się na mojej twarzy, gdyż Masséna pochwycił moją rękę i uścisnął ją serdecznie.

— Tam jest wzgórze i tam jest stos — rzekł. — Między nim a panem znajduje się tylko ten przeklęty gerylas ze swymi opryszkami. Większego oddziału w tym celu wysłać nie mogę, a mały spostrzeżonoby i zniesiono. Poruczam więc to zadanie panu samemu. Wykonaj je pan, jak sam uważasz za najlepsze, ale pragnę dziś o dwunastej w nocy zobaczyć ten płonący stos na szczycie.

— Gdyby nie płonął — odparłem — w takim razie proszę pana, mój marszałku, postarać się o to, aby moje rzeczy zostały sprzedane, a pieniądze odesłane mej matce.

Przyłożyłem rękę do czaka i zrobiłem zwrot w lewo w tył. Serce mi rosło na myśl o czynie, który mnie czekał.

Siedziałem przez pewien czas w moim pokoju, aby się dobrze zastanowić nad tem w jaki sposób najlepiej dokonać tej rzeczy. Fakt, iż ani Cortexowi, ani Duplessisowi, dwom bardzo energicznym i dzielnym oficerom, to się nie udało, dowodził, iż gerylasi pilnie czuwali nad okolicą.

Według mapy obliczyłem sobie odległość do szczytu gór.

Miałem przed sobą dziesięć mil równiny, zanim dostanę się do łańcucha gór. U stóp jego znajdował się las, może na trzy do czterech mil szeroki, a poza nim dopiero wnosiła się góra, coprawda nie bardzo wysoka, ale nie przedstawiająca mnie żadnej ochrony. To były trzy etapy mej wyprawy.

Wydawało mi się, że gdy dostanę się do chroniącego mnie lasu, wszystko inne będzie łatwem do zrobienia, gdyż mogłem się ukryć w cieniu lasu, a gdy się ściemni, wdrapać się dopiero po gołej górze do szczytu. Od ósmej do dwunastej miałem cztery godziny czasu. Pozostawało mi więc dokładne zastanowienie się nad pierwszą częścią wyprawy.

Przez tę równinę prowadziła ta nęcąca biała droga, a przypomniało mi się, iż moi towarzysze pozabierali ze sobą konie. To było z pewnością ich nieszczęściem, gdyż dla opryszków nie było nic łatwiejszego, jak czuwanie nad tą drogą i na napadanie przejeżdżających z zasadzki.

Nie sprawiałaby mi trudności jazda przez pola, na przełaj, zwłaszcza, iż posiadałem wtedy dwa doskonałe konie, Violettę i Rataplana, dwa najlepsze skoczki w całej armii, a oprócz tego jeszcze doskonałego karego, angielskiego ogiera od barona Cotona.

Po długiem zastanawianiu się jednakże, postanowiłem udać się piechotą, gdyż wtedy będę mógł lepiej wyzyskać każdą szansę, która mi się nadarzy.

Na mój mundur huzarski zarzuciłem zatem płaszcz, a na głowę wsadziłem szarą czapkę, jaką się nosi przy furażowaniu.

Dziwicie się panowie może, dlaczego nie przebrałem się za chłopa, ale mogę wam na to powiedzieć, panowie, że człowiek honoru niechętnie tylko umiera śmiercią szpiega. To zawsze różnica, czy kogoś zamordują, czy też rozstrzelają go według prawa wojennego. Tak marnie zginąć nie chciałem.

Po południu wyszedłem z obozu i minąłem nasze pikiety.

Pod płaszczem miałem lunetę, pistolet no i naturalnie pałasz. W kieszeni miałem hubkę, kamień i krzesiwo.

Dwie do trzech mil maszerowałem przez winnice, a szedłem tak dobrze, iż cieszyłem się w duchu i myślałem sobie, że trzeba być tylko mężczyzną z odrobiną rozsądnej rozwagi i wziąć się do rzeczy rozumnie, aby ją łatwo doprowadzić do skutku.

Cortexa i Duplessisa, którzy galopowali poprostu przez drogę, musieli gerylasi naturalnie spostrzedz, ale sprytny Gerard, który się skradał między winnicami, był zupełnie innym chłopcem.

Upaliłem już z pięć mil, nie natrafiwszy na najmniejszą nawet przeszkodę. Stanąłem przed małą gospoda, przed którą zobaczyłem kilkanaście wózków i kupę ludzi, pierwszych, których dotychczas spotkałem.

Teraz, gdy się znalazłem poza obrębem naszego wojska, wiedziałem, iż każdy człowiek był moim nieprzyjacielem. Zwinąłem się zatem i podkradłem się do miejsca, z którego mogłem się bezpiecznie przypatrywać wszystkiemu co się tam dzieje.

Zauważyłem, iż byli to chłopi, którzy ładowali na wózki próżne beczki od wina. Nie wiedziałem, czy mi mogą być pomocni, czy też mogą mi zaszkodzić, to też udałem się w dalszą drogę.

Wkrótce jednak przekonałem się, iż moje zadanie nie było tak łatwem, jak to sobie z początku wyobrażałem. Gdy rozpoczęło się wzniesienie, ustały winnice, a ja dostałem się na otwarty górzysty teren. Wśliznąłem się do rowu i zacząłem się okolicy przypatrywać przez lunetę.

Spostrzegłem niezadługo, że na każdem wzgórzu stała warta i że ci bandyci wystawili cały łańcuch straży, tak jak my sami. Słyszałem o organizacyi tego „Uśmiechniętego“ i miałem tutaj przed sobą praktyczny jej przykład.

Między poszczególnemi wzgórzami znajdował się kordon pikiet, a aczkolwiek w szerokiem kole obchodziłem ich skrzydła, to przecież zawsze przed sobą widziałem nieprzyjaciół.

Był tak mało ochronny, że szczur nie byłby się nawet przedostał, aby go nie widziano. Naturalnie nie byłoby trudnem prześlizgnąć się przez kordon wśród nocy, jak to zrobiłem z Anglikami pod Torres-Vedras; ale byłem jeszcze za daleko od góry. Gdybym był chciał zaczekać do nastania ciemności, nie mógłbym się był dostać na szczyt góry, aby tam o właściwym czasie podpalić stos.

Leżałem w rowie i zastanawiałem się nader głęboko nad rozmaitemi planami, ale co jeden — to niebezpieczniejszy od poprzedniego.

Wreszcie przyszedł mi do głowy ów tajemniczy błysk, który zjawia się zawsze u dzielnego człowieka, gdy ten nie poddaje się rozpaczy.

Powiedziałem wam już, panowie, że przed gospodą ładowano próżne beczki od wina. Woły przed wózkami stały zwrócone głowami na wschód, jasnem było zatem, iż wozy udadzą się w tym samym kierunku, w którym i ja zdążam. Jeżeli się ukryję w jednej w takich beczek, to cóż będzie łatwiejszego, jak przedostanie się bezpiecznie przez linie gerylasów?

Plan ten był tak dobry i tak doskonały, że nie mogłem powstrzymać okrzyku radości, gdy mi przyszedł na myśl. Pobiegłem natychmiast do gospody. Tam, ukryty za płotem, mogłem się doskonale przypatrywać, co się dzieje na drodze.

Trzech chłopów, w czerwonych czapkach, zajętych było ładowaniem. Z jednym wozem już skończyli, na drugim znajdował się dopiero pierwszy szereg beczek. Pewna ilość próżnych beczek leżała jeszcze przed gospodą.

Szczęście mi sprzyjało — zawsze mówiłem, że fortuna jest kobietą, która nie może się oprzeć młodemu i dzielnemu huzarowi.

Gdy tak czekałem, weszli trzej chłopi do gospody, gdyż był to dzień bardzo gorący, a im przy pracy zachciało się pić.

Szybko, jak błyskawica, wypadłem z mego ukrycia, wlazłem na wóz i ukryłem się w próżnej beczce. Miała ona spód, ale nie miała wierzchniej

pokrywy, a leżała na boku, otworem zwrócona po wnętrza.

Leżałem w niej, jak pies w budzie, z kolanami podciągniętemi pod samą brodę, gdyż beczki nie były zbyt wielkie, a ja znowu nie jestem taki mały.

Zaledwie znalazłem się w beczce, wyszli chłopi z gospody, a natychmiast usłyszałem nad sobą jakiś łoskot, po czem poznałem, iż na moją beczkę rzucili drugą. Naładowali ich tyle, jedna na drugiej, że sam nie wiedziałem, jak się z mej beczki wydostanę.

Ale na to było jeszcze dość czasu, a nie wątpiłem, iż moje przysłowiowe szczęście i wrodzony dowcip, które mnie tak daleko zaprowadziły, nie opuszczą mnie i w tym wypadku.

Gdy wóz był już zupełnie naładowany, ruszył w drogę, a ja śmiałem się w beczce przy każdym kroku, gdyż każdy z nich zbliżał mnie do celu. Podróż odbywała się powoli, a chłopi kroczyli obok wozu. Poznałem to po tem, iż słyszałem bardzo blisko ich głosy.

Wydawali mi się być wesołymi ludźmi, gdyż śmiali się serdecznie, idąc obok wozu. O czem rozprawiali tak wesoło, nie mogłem zrozumieć. Znam wprawdzie dosyć dobrze ich język, ale nie mogłem wysłuchać nic komicznego z urywków, które dochodziły mych uszu.

Wyliczyłem sobie według postępowania wołów naprzód, iż na godzinę robiliśmy dwie mile. Po upływie półtrzeciej godziny — panowie, takich godzin z pokurczonymi członkami, bliski uduszenia się i prawie otruty z powodu szkodliwych gazów — po upływie tych godzin więc musiała już równina znajdować się poza nami, a my powinniśmy się byli znajdować na skraju lasu i u stóp góry.

Zacząłem się zastanawiać, jak się tu wydostać z beczki. Myślałem już o różnych sposobach i rozważałem je na wszystkie sposoby i strony, gdy pytanie to zostało zozstrzygnięte w sposób bardzo prosty, ale zarazem dla mnie niespodziewany.

Wóz nagle się zatrzymał, a ja usłyszałem kilka surowych głosów.

— Gdzie, gdzie? — wołał jeden.

— Na waszym wozie — rzekł inny.

— Kto taki? — zapytał trzeci.

— Oficer francuski; poznałem go po czapce i butach.

Ryczeli wszyscy ze śmiechu.

— Patrzyłem właśnie z gospody przez okno i widziałem, jak właził do beczki, a czynił to tak szybko, jak toreador w Sewilli, gdy byk następuje mu na pięty.

— Do której beczki?

— Do tej tutaj — odparł drab i palnął mnie istotnie pięścią w to miejsce, gdzie się znajduje moja głowa.

Co za położenie, panowie, dla człowieka na mojem stanowisku! Dziś, po latach czterdziestu, rumienię się jeszcze, gdy sobie to przypomnę.

Zamknięty jak ptak w klatce i bezwładny musiałem słuchać brutalnego śmiechu tych opryszków — a co gorsza, trapiła mnie myśl, że moje posłannictwo skończy się nietylko haniebnie, ale także śmiesznie. Błogosławiłbym tego człowieka, któryby wpakował do beczki kulę i w ten sposób wybawił mnie z ciężkiej biedy.

Słyszałem trzask zwalanych na ziemię beczek, aż wreszcie do mej beczki wsunęły się dwie brodate twarze i dwie lufy karabinów.

Porwali mnie za rękawy i wyciągnęli na światło dzienne. Musiałem jakoś szczególnie wyglądać, gdy tak stałem w oślepiającym blasku słońca, łypiąc oczyma i chwytając powietrze.

Byłem pogięty i połamany, nie mogłem wyprostować zesztywniałych członków, a płaszcz mój był na pół czerwony, jak mundur żołnierzy angielskich. Leżałem w beczce od czerwonego wina.

Te draby śmiały się coraz głośniej i głośniej, te psy, a gdy im mojem zachowaniem się i gestami dawałem do zrozumienia całą moją dla nich pogardę, stawało się jeszcze gorzej.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

MARYA RODZIEWICZÓWNA.

WRZOS

POWIEŚĆ

(Ciąg dalszy).

Kazia słuchała, co mówiono w koło niej, dorzucała niekiedy słowo do paplania Emilki Markhamowej, sama nie lornetowała, mając z natury bardzo ostry wzrok, a nie czując żadnej ciekawości, patrzała w afisz.

Nagle jakaś siła zmusiła ją do podniesienia oczu.

W krzesłach było morze ludzkich głów, łysin męskich i fantastycznych fryzur kobiecych, mięszało się to wszystko chaotycznie, kołysało, jak fala i pomruk szedł, jak z morza. I w tem morzu ujrzała tylko jedną twarz, jedną głowę i spotkali się wzrokiem i pozostali oboje bez tchu, jak skuci źrenicami.

— Stachu! — dusza jej mu to rzuciła, bez dźwięku, nie głosem, ale całą potęgą milczącego spojrzenia.

W tem dzwonek na scenie i nagle światła sali zgasły, szmery się uciszyły, kurtyna się podniosła.

Wszystkie oczy zwróciły się ku scenie i prawie cały teatr miał jedną myśl:

— Żeby prędzej antraktu się doczekać.

Kazia przymknęła oczy i szczęśliwa się czuła, że nie potrzebuje mówić, słuchać, patrzeć.

Zdało się jej, że huragan, wicher, fale morskie szumią jej w głowie, że ogień ma w piersiach, że tonie, spada w bezdenną przepaść: Wrócił, żyje, jest. Wracają tak ptaki z wyrajów, z za morza! O Jezu!

Z chaosu wrażeń pierwsza naturalna, wszechpotężna siła młodości i życia zawrzała w niej pieśnią.

Stach wrócił jak wiosna wraca!

W tem się wzdrygnęła przerażona.

— Co ci? — szepnął za nią Andrzej. Oparty był ramieniem o jej fotel i dotknął był jej ręki.

— Przestraszyłem! — dodał i z poufałością męża posunął dłoń aż do ramienia i pozostawił tak.

Uczyniła jej ta pieszczota wrażenie piętna gorącem żelazem, zacisnęła nerwowo zęby, by z bólu nie syknąć, nie zdradzić odrazy. Jemu gorąca fala krwi mignęła w oczach, pochylił się nieznacznie i musnął ustami po szyi. Poruszyła się i usunęła bez słowa, czuła tylko, że jej zimny pot pokrył skronie i w oczach pociemniało.

Markhamowa trąciła go wachlarzem i szepnęła z uśmiechem:

— Mógłby pan to czynić dyskretniej! Ręczę, że nawet kapelmistrz widział!

— Ale nawet arcybiskup nie znalazłby w tem nic grzesznego! — odparł podobnież.

— Cicho! — upomniał Markham, stróż form i pozorów!

Akt dobiegał końca, ostatnie tony, brawa, przeciągłe okrzyki, kurtyna zapadła, gaz zapłonął, ruch uczynił się w całym teatrze. Panowie w krzesłach, jedni odeptywali nogi damom, przeciskając się do wyjścia, inni plecami zwróceni do sceny, lornetowali, zamieniali ukłony ze znajomemi, których nie dostrzegli z początku, w lożach wizytowano się. Miejsce Andrzeja zajęło z kolei kilku panów, ostatni Radlicz, który spojrzał na nią bystro.

— Nadwerężył panią szpetnie karnawał. Prawda, że ludzie, jakby się wściekli, tak hulają. Tylko jakoś amatorów na mężów brak. Do tego doszło, że mnie swatają tę tam milionową Majerównę.

— I bierze ją pan? — spytała ciekawie Markhamowa. — Bylibyśmy w sąsiedztwie, oni mają willę pod Grodziskiem.

— Nie biorę, pani łaskawa, bo jestem malarzem na płótnie, a nie na perkalu. Po drugie ona jest ruda, to typ kolegi Żmurki, nie mój,

a po trzecie zanadto kocham mężatki i ręczę, że z mędel ich nie przeżyłby mego wiarołomstwa.

Poczęli się przekomarzać z Markhamową, ale Radlicz zarazem obserwował salę i rzekł:

— Jarłowa ma jeszcze przepyszny biust. To jest rasowa szkapa. Postawiłbym na nią w totka, gdyby biegała! Wzięłaby dużo młodszych!

— Panie, bardzo proszę, to nie targowica na Pradze.

— Albo ja mówię, że na Pradze! O co się pani kłóci?

— O szacunek kobiet!

— Niech się szanują, albo im bronię! Może co za to dostanę nawet na tamtym świecie.

— Pan jest wstrętny potwór!

— Próbowała pani?

— Wynoś się pan!

— Na rozkazy!

Ukłonił się i wyszedł.

Kazia nie podniosła już oczu, nie spojrzała tam w krzesła i nie czuła już wiosny i życia w sobie.

Niesłychanym wysiłkiem woli była pozornie swobodna i grała swą światową rolę.

Dopiero gdy powstał ruch odwrotu, spojrzała na salę, ale już tam nie było dla niej nikogo, tylko tłum.

Na schodach Markham zaproponował kolacyę.

Spojrzała na Andrzeja ze zgrozą, że przyjmie, że ją jeszcze czeka męczarnia sali restauracyjnej, gorąco, zaduch potraw, i wyziewów trunków, spotkanie znajomych, ale Andrzej się wymówił i rozstali się na placu.

Odetchnęła nareszcie w swym buduarze. Oswobodziła się ze strojów i klejnotów, odprawiła służącą i otwożyła list od ojca, który zastała w skrzynce pocztowej.

Papier drżał w rękach i skakały litery, ale czytała blada z wrażenia, pożerała słowa:

„Moje kochane dziecko, miałem w zeszły wtorek nielada niespodziankę. Wyobraź sobie, Stach Bogucki się odnalazł, wrócił i był u mnie. Zmienił się bardzo szczególnie duchowo. Zdziczał i sponurzał, mało co mogłem z niego wyciągnąć. Przywitał mnie sztywnie: chorowałem! mruknął i tyle. Nie spytał o babkę, o ciebie, o nikogo, o nic. Siedział zgarbiony ze wzrokiem w ziemi, jak wilk. Chciałem mu zdać rachunki z administracyi folwarczku. Zaśmiał się, zerwał, papiery zgarnął i mruknąwszy mi dziękuję, ukłonił się i wyszedł! Dziki człowiek. Szkoda! Za gorący był, spłonął i popiół został. Stracony. Dobrze, że stara Bogucka nie dożyła tego powrotu!..“

Kazia nie czytała dalej. Zamknęła oczy, odrzuciła głowę na poręcz fotelu i jakby zmartwiała.

Wtem skrzypnęła klamka u drzwi i wszedł Andrzej.

— Narzekasz na zmęczenie a nie idziesz spać — rzekł siadając na kanapce. — Jakaś ty mizerna. To nie karnawał, ale te twoje dobroczynne bieganiny tak cię męczą! Jak mi tak będziesz marnieć, to zabronię.

Wyprostowała się i rzekła.

— Otrzymałam list od ojca. Przeczytaj!

Wziął do rąk.

Zrazu trochę znudzony, przy pierwszych słowach brwi zmarszczył i tak już chmurny doczytał końca.

Potem przejrzał raz jeszcze i dziwnie się uśmiechnął.

Oddał jej papier, sięgnął do kieszeni i podał jej w zamian kopertę czerwoną, mocno pachnącą.

— A ty przeczytaj to — rzekł, zapalając papierosa.

Było tam kilka słów po francusku, bez nagłówka i podpisu, ale treści tak erotycznej, że zwróciła mu ze wstrętem.

Roześmiał się.

— Zeszły się, jak obstalowane. Wrócił tedy ten twój ideał, a ja mam oświadczyny od Jarłowej. Szkoda, że nie wcześniej. Teraz nie mam ochoty.

Milczała ze wrokiem wbitym w ziemię, ze splecionemi na kolanach rękoma.

Trochę urażony tem milczeniem dodał:

— No i chyba ty już się ze mną pogodziłaś i losu byś nie zmieniła. Mogę figurować na wystawie inwentarza, jako wzór męża! Gdybyś ty była cokolwiek mniej apatyczna, czuję, że bym się w tobie rozkochał. Tymczasem, zaczynam się z tobą godzić i na razie innej nie chcę. No, rzuć ten list i kładź się spać. Będziesz na balu źle wyglądać.

— Tembardziej idź spać. Czy mam cię zanieść do sypialni? — dodał, wstając.

Zerwała się z fotelu i słowa nie mówiąc, wzięła świecę z biurka i wyszła.

Nazajutrz czuła się tak niezdrowa i słaba, że zapragnęła raz pierwszy w życiu leżeć, spocząć. Ale po chwili pasowania się z nieznośną niemocą wstała, wzięła proszek chininy, orzeźwiła się chłodną kąpielą i poszła do zwykłych zajęć.

— Zaspałaś, córuś! Dobrze będziesz świeżą na bal! — powitał ją prezes.

Andrzej czytał Kuryera i rzekł;

— Węgiel znowu zdrożał. Markham się uparł nie robić kontraktu. Teraz nas rżnąć będą, jak sami zechcą.

— A biedacy chyba zmarzną wszyscy! — westchnęła Kazia. — Znowu dziś 12 stopni mrozu.

— Nie wychodź na ten ziąb. Ty się doprawdy napytasz biedy po tych norach i narobisz nam dopiero ambarasu.

— Muszę wyjść chociażby do lecznicy. Toć tam tłok będzie dzisiaj, a doktór się zmienia. Nie wiem jeszcze, kogo mi Downar wynajdzie.

Andrzej coś zamruczał, ale go zwyżka węgla pochłaniała i chciał się o tem z Markhamem rozmówić, spojrzał na zegarek.

— Zastanę go jeszcze na dworcu — rzekł kończąc spiesznie kawę i wszedł.

Prezes miał jakąś sesyę, także się spieszył, a wnet potem i Kazia wyszła do lecznicy.

Jak przewidywała, tłok był.

— Doktór jest? — spytała zdziwiona dozorczyni.

— Jest, jakiś nowy, z listem od profesora Downara. List zostawił i zaraz się wziął do roboty. A tak starannie chodzi koło nich, jakby chrabiami byli

Podała jej list i Kazia weszła do gabinetu, gdzie po konsultacyi załatwiano materyalne potrzeby pacyentów. Rozerwała kopertę:

„Szanowna pani! — Okazuje się że zaszło nieporozumienie i pomyłka. Mój protegowany, doktór Bogucki, upewnił mnie, że ani narzeczonej w kraju nie zostawił, ani pani zna. Posada i zajęcie bardzo mu się podoba, a że i ja jestem pewny, iż odpowiedniejszego nie sposób znaleźć, więc go instaluję niniejszem, spokojny, że ten zaufania nie zawiedzie. Proszę się nie zrażać jego sposobem obejścia, szorstki jest i ponury, ale rzecz swoją zna, a wartość charakteru wynagrodzi brak form.

Downar".

Kazia, przeczytawszy, otworzyła drzwi do małego pokoiku biura samej Ramszycowej i poleciła dozorczyni poprosić doktora.

Wszedł po dość długiem oczekiwaniu i sztywnie się ukłonił.

— Bogucki! — mruknął i spojrzał na nią przelotnie.

— Dlaczego pan skłamał, że mnie pan nie zna? — spytała rozpacznie. — Czy pan zapomniał, czy pan się mści, czy pan mną pogardza? Nie zasłużyłam na to. I poco pan tu przyszedł?

— Nie mam przyjemności znać pani. Przyszedłem z polecenia profesora Downara na posadę, która odpowiada moim celom i idei. Czy pani nie życzy sobie, żebym tu pozostał? W takim razie usunę się, tylko dziś jeszcze załatwię pacyentów; to mój obowiązek. Chory, tembardziej nędzarz, nie powinien czekać do jutra.

Zwrócił się, by odejść.

— Stachu! — wyrwało się jej mimowiedzy.

Zły ogień zapałał w oczach Boguckiego. Taka zaciętość i niechęć, że jęknęła, jakby otrzymała uderzenie bolesne.

— Pani mnie bierze za kogoś innego! — rzekł twardo. — Pytał mnie profesor Downar, czy miałem narzeczoną. Skądże? Gdybym miał, to by mnie nie opuściła dla tego, że mnie los podeptał, żem był nędzny, słaby, zgnieciony nieszczęściem. Alem ja sam był i sam jestem i sam będę. Narzeczonej nie miałem i mieć nie mogę, bo nie posiadam ni pieniędzy, ni świetnego stanowiska, a przecie mej idei kobiecie nie ofiaruję na zabawkę i poniewierkę! Ale, pani daruje, chorzy czekają!

Stała bez słowa, bez myśli, niezdolna się bronić, domęczona już tym ciosem. On wyszedł.

XII.

Tej nocy po balu, Kazia się ocknęła, jakby ją coś wstrząsnęło, jakby na nią ktoś zawołał.

Otworzyła oczy i starała się zrozumieć, co się z nią dzieje.

Dzwony biły, wiele dzwonów, a biły rozgłośnie, aż ją bolało w głowie od dźwięków i huku.

Na co dzwonią? gdzie? ha, to na rezurekcyę w Górowie. Jest tam Wielkanoc przecie.

Bo wiosna już świta. Rezurekcye i sady kwitną, pachnie jabłoniowem kwieciem i polatują w powietrzu, strącone powiewem ranku, białe płatki, pełno ich, opadają bez szelestu, a dzwony grają. Trzeba iść na rezurekcyę. Idzie wśród sadów na te dzwony, płatki białe padają, ale jakie one zimne, biała już od nich i ziemia, coraz więcej wiruje, to śnieg, zadymka.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ALEKSANDER DUMAS.

WSPÓLNIK GARBARZA

CZYLI

KAWALER DE MAISON-ROUGE.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Co dzień więc chodził od Karmelitów do Port-Libre, od Panien Miłosiernych do św. Łazarza, z warowni do pałacu Luksemburg i stawał przed więzieniami, gdy z nich odchodziły wozy, przeprowadzające obwinionych do rewolucyjnego trybunału. Spojrzawszy po ofiarach, natychmiast biegł do innego więzienia.

Atoli wkrótce przekonał się, że dziesięciu najczynniejszych ludzi nie zdołałoby w ten sposób czuwać nad trzydziestu trzema więzieniami Paryża w owej epoce, postanowił więc pójść na trybunał rewolucyjny i tam czekać pojawienia się Genowefy.

Był to już początek rozpaczy. W rzeczy samej, po wyroku żadnego już nie było ratunku dla skazanego! Trybunał, zaczynający posiedzenia swoje o godzinie dziesiątej rano, niekiedy do godziny czwartej skazał dwadzieścia do trzydziestu osób; pierwszy skazany przeto cieszył się jeszcze sześciu godzinami życia, kiedy tymczasem ostatni, dotknięty wyrokiem śmierci o godzinie trzy kwadranse na czwartą, już o pół do piątej padał pod toporem.

Znudził się więc walką z przeznaczeniem, ten, kto podobnie się ryzykował dla Genowefy.

O! gdyby go kto był uprzedził o uwięzieniu Genowefy... jakżeby Maurycy był naigrywał się z owej sprawiedliwości ludzkiej, tak podówczas zaślepionej! Jakżeby łatwo i rychło wyrwał był Genowefę z więzienia! Nigdy ucieczka nie była łatwiejsza, a rzec można, że nigdy rzadszą. Wszystka szlachta, zamknięta w więzieniu, rozgaszczała się w niem jak w zamku, i umierała bez trosków. Uciekać, znaczyło to unikać następstw pojedynku; kobiety nawet wstydziły się taką ceną nabytej swobody.

Ale Maurycy nie byłby tak dalece skrupulatnym. Pozabijać psy, przekupić odźwiernych, cóż łatwiejszego? Imię Genowefy nie było tak głośne, iżby zwracało publiczną uwagę... Jej by ucieczka nie zhańbiła, a wreszcie... gdyby ją nawet i zhańbiła.

O! z jakąż goryczą wyobrażał sobie łatwe do przebycia ogrody w Port-Libre, niskie mury pałacu Luksemburg, lub ciemne, karmelitańskie korytarze, do których każdy śmiałek łatwo, wysadziwszy okno, dostać się może.

Ale czyż Genowefa była zamknięta w jednem z tych więzień?

Wtedy, trawiony powątpiewaniem, skołatany zgryzotą, Maurycy przeklinał Dixmera; groził mu, nasycał się nienawiścią ku człowiekowi, który pod pozorem przywiązania do królewskiej sprawy, ukrył okropną zemstę swoją.

— Znajdę ja go — myślał Maurycy — bo jeżeli pragnie ocalić nieszczęśliwą kobietę, to się pokaże; jeżeli zaś zgubić ją zamierzył, to ją znieważać będzie. Znajdę ja tego niegodziwca, i wówczas biada mu!

Rano tego samego dnia, w którym miały miejsce opowiedziane przez nas wypadki, Maurycy wyszedł, jak zwykle, na plac Rewolucyi. — Lorin spał jeszcze.

Obudził go wielki hałas, jaki sprawiały pod drzwiami głosy kobiet i kolby karabinów. Spojrzał w około siebie błędnym wzrokiem, jak każdy niespodzianie napadnięty, który przekonać się pragnie, że na widoku nie ma nic, coby go skompromitować mogło.

W tej chwili weszło do niego czterech sekcyonistów, dwóch żandarmów i komisarz.

Te odwiedziny tak były znaczące, że Lorin ubrał się czemprędzej.

— Czy aresztujecie mię? — spytał.

— Tak, obywatelu Lorin.

— I dla czegoż to?

— Bo jesteś podejrzany.

Komisarz napisał coś u spodu protokułu aresztowania.

— Gdzież jest twój przyjaciel? — rzekł potem.

— Jaki przyjaciel?

— Obywatel Maurycy Lindey.

— Zapewne u siebie — powiedział Lorin.

— Nie, on tutaj mieszka.

— On? Cóż znowu! Ale szukajcie, a jeżeli znajdziecie...

— Oto denuncyacya — rzekł komisarz — dosyć jasna.

Podał Lorinowi szkaradnie i zagadkową ortografią zapisany papier. W tej denuncyacyi twierdzono, że widziano, jak każdego poranku wychodził od obywatela Lorin obywatel Lindey, podejrzany i skazany na areszt. Denuncyacyę tę podpisał Simon.

— No, proszę! ten partacz wkrótce potraci wszystkich kundmanów, jeżeli dwa obowiązki zarazem spełniać będzie. Co! szpieg i łatacz starych butów! To prawdziwy Cezar ten pan Simon. — I wybuchnął śmiechem.

— Gdzież jest obywatel Maurycy? — powiedział komisarz — gdzie jest? zaklinamy cię, abyś go wydał!

— Powiadam, że go tu nie ma!

Komisarz poszedł do drugiego pokoju, potem przejrzał antresolkę, w której mieszkał oficyalista Lorina, nakoniec otworzył komórkę, lecz nigdzie nie znalazł Maurycego.

Ale świeżo napisany list, który leżał na stole w jadalnym pokoju, zwrócił uwagę komisarzu. Pisał go Maurycy i położył tam, nie chcąc budzić przyjaciela, z którym spał razem.

„Idę na trybunał — pisał Maurycy — śniadaj bezemnie; wrócę dopiero wieczorem“.

— Obywatele — powiedział Lorin — chociaż jak najprędzej pragnąłbym towarzyszyć wam, ale pojmujecie, że w koszuli iść nie mogę. Pozwólcie więc, niech mię ubierze mój oficyalista.

— Arystokrata — rzekł jakiś głos — trzeba mu pomagać, żeby włożył spodnie.

— O! dla Boga! prawda — powiedział Lorin — jestem jak obywatel Dagobert. Uważajcie, żem nie powiedział: król.

— No, prędzej, ubieraj się — rzekł komisarz.

Oficyalista zszedł z antresolki i dopomógł swojemu panu w ubraniu się.

Lorin nie potrzebował lokaja, ale miał na celu zrobić go świadkiem wszystkiego, co zaszło, aby tym sposobem i Maurycy wiedzieć mógł o wszystkiem.

— Teraz panowie, przepraszam: obywatele, jestem gotów i służę wam. Ale pozwólcie, proszę, abym mógł zabrać z sobą ostatni tom „Listów do Emilii“ pana Demoastier, który dopiero wyszedł z druku i któregom jeszcze nie czytał; to mi uprzyjemni więzienne nudy.

— Uwięzienie twoje!... — nagle powiedział Simon, który teraz z kolei zostawszy municypalnym urzędnikiem, wszedł z czterema sekcyonistami — uwięzienie twoje długo trwać nie będzie. Figurujesz w procesie kobiety, która pragnęła ułatwić ucieczkę Austryaczki. — Dziś ją sądzą... a ciebie sądzić będą jutro.

— Szewcze — poważnie rzekł Lorin — za prędko szyjesz twoje obuwie.

— Tak, ale jak ładnie kraję gnypem — z obrzydliwym uśmiechem odparł Simon — obaczysz, piękny mój grenadyerze.

Lorin wzruszył ramionami.

— I cóż! czy jedziemy? — rzekł — bo czekam.

A że każdy obrócił się, idąc na schody, Lorin uderzył nogą urzędnika Simona, iż ten, wyjąc, stoczył się z wywoskowanych schodów.

Sekcyoniści nie mogli wstrzymać się od śmiechu. Lorin włożył ręce w kieszenie.

— W miejscu mojego urzędowania! — wybladły z gniewu zawołał Simon.

— Do licha! — odparł Lorin — alboż my tu wszyscy nie jesteśmy w miejscu naszego urzędowania?

Wsiadł do fiakra i wraz z komisarzem odjechał do pałacu sprawiedliwości.

IX.

Lorin.

Jeżeli czytelnik po raz drugi towarzyszyć nam pragnie do trybunału rewolucyjnego, znajdziemy tam Maurycego na tem samem miejscu, gdzieśmy go już pierwej widzieli, jest tylko bledszy i bardziej wzruszony.

W chwili, gdy otwiera się scena strasznego teatru, na który prowadzą nas raczej wypadki, niż upodobanie, przysięgli naradzają się nad zdaniem, bo tylko co wysłuchali jednej sprawy; dwaj oskarżeni, którzy wówczas przez znieważającą przezorność, z jaką z sędziów szydzono, już się ubrali do rusztowania, rozmawiali z obrońcami, których czcze słowa podobne są do słów lekarza, powątpiewającego już o chorym.

Lud, zajmujący trybuny, tego dnia w wściekłym był humorze, i przez to drażnił surowość przysięgłych, którzy, zostając pod bezpośrednim nadzorem pończoszarek i przedmieszczan, niby aktorowie jacy tem lepiej przed źle usposobioną publicznością, odgrywają swą rolę.

To też od godziny dziesiątej z rana, ci sami przysięgli zamienili pięciu obwinionych w pięciu potępionych.

Dwaj ludzie, siedzący wówczas na ławce oskarżonych, oczekiwali właśnie na „tak“ lub „nie“, które albo miało przywrócić ich do życia, albo rzucić na łono śmierci.

Towarzyszący lud, zdziczały z przyzwyczajenia do tej codziennej tragedyi, która stanowiła jego ulubione widowisko, przygotowywał się do niego następującą rozmową:

— Patrz-no! patrz na tego wielkiego! — mówiła jedna pończoszarka, która zamiast czepka, miała na głowie trójkolorową kokardę — patrz-no, jaki on blady! rzekłabyś, że już umarł!

Skazany spojrzał na nią pogardliwie i uśmiechnął się.

— Co ty mówisz? — odrzekła sąsiadka — on się śmieje.

— Tak, przez zęby.

Jakiś przedmieszczanin spojrzał na zegarek.

— Która godzina? — zapytał towarzysza swojego.

— Za dziesięć minut pierwsza, już się trzy kwadranse naradzają.

— A mały, a mały! — zawołał inny obecny — patrz-no na niego, to dopiero brzydki będzie, jak kichnie we worek!

— Ba! to prędko idzie, nie będziesz miał czasu przekonać się o tem.

— No, to poprosimy pana Samsona o jego głowę; przecież każdemu wolno widzieć ją.

— Patrz-no, jak on pięknie ubrany ten niebieski; biednym ludziom przyjemnie patrzeć, kiedy dobrze ubranych obcinają.

W istocie, jak wykonawca powiedział królowej, biedni dziedziczyli pozostałość każdej ofiary, pozostałości te zaraz po egzekucyi odstawiano do szpitala obłąkanych i rozdawano ubogim, tam także odesłano suknie ściętej królowej.

Maurycy słuchał tych rozmów, ale nie uważał na nie; każdego w tej chwili zajmowała myśl wyłączna. Od kilku dni serce Maurycego biło tylko kiedy niekiedy i to gwałtownie; a obawa lub nadzieja, kolejno zdawały się zawieszać bieg jego życia, a te nieustanne wstrząśnienia, zobojętniły tak dalece jego serce, że zapełniły je niemocą.

Przysięgli wrócili do sali, i jak przewidywano, prezes wyrzekł, że obaj obwinieni na śmierć zasługują.

Odprowadzono ich, szli nieustraszeni, bo w owej epoce każdy śmiało umierał.

Głos woźnego ozwał się ponuro, złowrogo.

— Obywatel oskarżyciel publiczny, przeciw obywatelce Genowefie Dixmer.

Maurycy zadrżał na całem ciele i wilgotny pot zrosił twarz jego.

Otworzyły się drzwi, któremi wprowadzano oskarżonych i pokazała się Genowefa. Ubrana w bieli, miała włosy utrefione i ułożone czarownie i zalotnie, gdyż nie obcięła ich, jak to czyniło wiele innych kobiet. Zapewne aż do ostatniej chwili pragnęła wydać się piękną, w oczach tego, który ją mógł widzieć.

Maurycy spostrzegł Genowefę i uczuł, że go opuszczają wszelkie siły, jakie w tej chwili zgromadzić zdołał; spodziewał się jednak tego ciosu, gdyż od dwóch tygodni nie opuścił żadnego posiedzenia, gdyż imię Genowefy, wychodząc z ust oskarżyciela publicznego, po trzykroć już odbiło się o jego uszy; ale jest pewien rodzaj rozpaczy tak rozległy, tak głęboki, iż nikt go do gruntu zmierzyć nie zdoła.

Na widok tej kobiety, tak młodej, tak pięknej, tak naiwnej i bladej, wszyscy wydali okrzyk, ale jedni okrzyk wściekłości, (bo w tej epoce byli ludzie, którzy nienawidzili wszelką wyższość, bądź w piękności, bądź w majątku, geniuszu, lub rodzie), drudzy zaś okrzyk podziwienia, a niektórzy tylko okrzyk litości.

Genowefa wśród tej ogólnej wrzawy poznała zapewne głos jeden, bo się odwróciła w stronę Maurycego, podczas gdy prezes przewracał akta jej oskarżenia, kiedy niekiedy patrząc na nią z pod oka.

Od razu spostrzegła Maurycego, mimo, iż się cały ukrył pod skrzydłami swojego kapelusza; wtedy cała zwróciła się ku niemu z słodkim uśmiechem i jeszcze słodszem skinieniem; różowe i drżące ręce przyłożyła do ust, i składając na nich całą swą duszę, niby na skrzydłach przesłała skryty pocałunek, który jedna tylko osoba w tłumie miała prawo sobie przywłaszczyć.

Szmer współczucia przebiegł po całej sali.

Genowefa zapytana, obróciła się ku sędziom, lecz nagle jej rozszerzone oczy z niewypowiedzianym wyrazem trwogi spoczęły na jednym punkcie sali.

Napróżno Maurycy wspinał się na palce; nic nie widział, a raczej coś ważniejszego zwróciło jego uwagę na scenę, to jest na trybunał.

Fouquier-Tinville zaczął czytać akt oskarżenia.

Akt ten twierdził, że Genowefa Dixmer była żoną zajadłego buntownika, podejrzanego o udzielanie pomocy byłemu kawalerowi de Maison-

Rouge w jego rozmaitych usiłowaniach ocalenia królowej.

Wreszcie, że ją schwycono u stóp królowej, błagającą, aby przemieniła z nią suknie i gotową umrzeć w jej miejscu. Tak nierozsądny fanatyzm, mówił akt oskarżenia, zjedna sobie zapewne pochwały kontr-rewolucyonistów. Ale dziś, kiedy każdy obywatel francuski narodowi winien swoje życie, podwójnie zatem zdradza, kto je poświęca nieprzyjaciołom Francyi.

Genowefa zapytana, czyli w istocie przyznaje się, iż — jak twierdzą żandarmi Dufresne i Gilbert — ujęto ją u nóg królowej, kiedy błagała o przemienienie z nią sukien, po prostu odpowiedziała:

— Tak jest!

— A więc — rzekł prezes — opowiedz-że nam wasz plan, wasze nadzieje!

Genowefa uśmiechnęła się.

— Kobieta może mieć nadzieje — odparła — ale nigdy nie może przedsięwziąć planu podobnego temu, którego jestem ofiarą.

— Jakim-że tedy sposobem tam się dostałaś?

— Nie należałam do siebie, ale mi tam gwałtem iść kazano.

— Kto ci to kazał? — spytał publiczny oskarżyciel.

— Ludzie, którzy w razie nieposłuszeństwa śmiercią mi zagrozili. — I znowu jej gniewny wzrok utkwił w punkcie sali, niewidzialnym dla Maurycego.

— Ale dla uniknienia śmierci, jaką ci grożono, naraziłaś się na śmierć, będącą skutkiem wyroku?

— Kiedym uległa, nóż piersi moich dotykał, a tymczasem gilotyna daleką jeszcze była od mojej głowy. Ugięłam się więc pod niezwłocznym gwałtem.

— Czemużeś nie wołała o pomoc? Każdy dobry obywatel byłby cię bronił.

— Niestety! mój panie — odpowiedziała Genowefa tak zarazem smutnie i czule, że serce Maurycego wzdęło się tak, iż omal nie pękło — niestety! nikogo więcej nie było wtedy przy mnie.

Rozrzewnienie zajęło miejsce współczucia, jak współczucie zajęło miejsce ciekawości. Mnóstwo głów pochyliło się, bo jedne ukrywały łzy, a drugie wolny im bieg dawały.

Wtedy Maurycy po lewej stronie swojej spostrzegł jednę głowę niewzruszoną, jednę twarz nieugiętą.

Był to Dixmer, ponury, nieubłagany, nie spuszczający z oka ani Genowefy, ani trybunału.

Krew uderzyła do głowy młodzieńca; gniew przebiegł mu z serca do czoła, napełniając całą jego istotę niepomiarkowaną żądzą zemsty. Rzucił na Dixmera spojrzenie, pełne tak elektrycznej, tak potężnej nienawiści, iż ten, jakby palącym płynem pomazany, zwrócił głowę ku nieprzyjacielowi swojemu.

Ich spojrzenia skrzyżowały się, jak dwa płomienia.

— Powiedz nam nazwiska twoich podżegaczy — rzekł prezes.

— Nie było ich kilku, lecz tylko jeden.

— I któryż to?

— Mój mąż.

— A czy wiesz, gdzie on się teraz znajduje.

— Wiem.

— Wskaż nam jego kryjówkę.

— Jest on może we Francyi; ale nie będę tyle podłą, iżbym wyjawiła jego schronienie, do was należy wynaleść go.

Maurycy spojrzał na Dixmera. Dixmer ani się nie ruszył. Jakaś myśl przebiegła po głowie młodzieńca; chciał on i Dixmera i siebie denuncyować, ale się wstrzymał.

— Nie — rzekł sobie — nie tak on umrzeć powinien!

— Odmawiasz więc kierowania naszemi poszukiwaniami? —. spytał prezes.

— Sądzę, mój panie, że ulegając żądaniu waszemu, równie byłabym pogardy godną w oczach drugich, jak i w swoich własnych — odparła Genowefa.

— Czy są świadkowie? — spytał prezes.

— Jest jeden — odpowiedział woźny.

— Przywołaj go.

— Maksymilian Jan Lorin — zawołał woźny.

— Lorin? — pomyślał Maurycy. — O! Boże, cóż to się stało?

Ta scena miała miejsce w dniu przyaresztowania Lorina, o którem Maurycy nic nie wiedział.

— Lorin! — poszepnęła Genowefa, z bolesną niespokojnością spoglądając w koło siebie.

Ciąg dalszy nastąpi).

DZIAŁ KOBIECY.

Dziecko w świetle hygieny.

Jak zapobiegać chorobom zakaźnym.

Gruźlica.

II.

Istotą zarazku gruźlicy jest lasecznik zwany lasecznikiem Kocha, wywołuje on tę straszną chorobę, którą zwykliśmy nazywać suchotami. Ta wiadomość i ta znajomość wroga ułatwia nam walkę z nim i pozwala na ochronę przed tą chorobą. Otóż przedewszystkiem wiemy, że najniebezpieczniejszą jest plwocina, należy więc zwrócić baczną uwagę, by nią nie zanieczyszczano podłóg w mieszkaniach, tramwajach, wagonach kolejowych i t. p. Niechaj napisy, które widnieją w miejscach publicznych „nie pluć na podłogę" nie będą czczym frazesem — za granicą za niespełnienie takiego przepisu płaci się karę pieniężną (jeżeli kto nie może, zamienić można karę pieniężną na areszt policyjny) u nas wymyśla się na tego, kto ośmieli się osobie plującej na podłogę w tramwaju lub w wagonie zwrócić grzecznie uwagę na napis, a przecież wiemy, że plwocina wysychając miesza się z kurzem i wraz z nim wdychana jest przez otaczające osoby, wiemy także, że zakażeniom sprzyja jeszcze zamknięta przestrzeń (wagon tramwaju i t. p). Powinniśmy zatem unikać plucia na podłogę i ziemię. — Tutaj odrazu zaznaczę, że osoby, które wiedzą o tem, że dotknięte są gruźlicą, powinny nosić przy sobie spluwaczki tekturowe, które można palić, plucie bowiem w chustki naraża na rozmnożenie zarazka.

Skoro już wiemy o tem, że laseczniki gruźlicze unoszą się wraz z pyłem i kurzem, powinniśmy się starać, by kurzu było jak najmniej w otaczającem nas powietrzu i dlatego ważnym środkiem chroniącym nas od przenoszenia tą drogą jest częste polewanie ulic, zbieranie kurzu w mieszkaniach wilgotną ścierką i t. p. Bacznego nadzoru wymagają także wszystkie naczynia i sprzęty otaczające chorego — każdy dotknięty gruźlicą powinien posiadać oddzielne szklanki, łyżki i t. p sprzęty do użytku domowego.

Całowanie dzieci w szczególe w usta powinno być też surowo zabronione suchotnikom, a ile to razy naprzykład widzimy w ogrodzie i w parkach, że obcy ludzie, o których stanie zdrowia nic nie wiemy, całują dzieci tylko dlatego, że im się te dzieci podobają, jak gdyby inne sposoby wyrażenia zachwytu nie istniały! Dlatego też powinny matki przestrzegać tego i nie pozwalać, by ich dzieci całowano, odnośne wskazówki powinna też otrzymać niańka lub opiekunka dziecka; przez całowanie bowiem można przenieść nietylko gruźlicę, ale jeszcze i cały szereg innych chorób, że wspomnę tu tylko syfilis.

Tyle o przenoszeniu zarazka do dróg oddechowych, — a przecież wiadomą jest rzeczą, że i drogą przewodu pokarmowego może się lasecznik dostać do ustroju dziecka.

Nie mówię tu o tych przypadkach, w których nieświadoma matka lub niańka przeżuwa najpierw pokarm, by czynność tę ułatwić dziecku i tą drogą wraz ze śliną, o ile w niej znajdują się laseczniki gruźlicy, zakażają dzieci... Tego chyba dziś już nikt nie czyni. Lasecznik gruźlicy może być przeniesiony do ustroju dziecka przez mleko; nawet takie mleko, które pochodzi od krów mających zdrowe wymiona — zawierać może lasecznik, dlatego też powinniśmy unikać podawania dzieciom mleka surowego, jak zresztą już o tem mówiliśmy w całym szeregu pogadanek, omawiających karmienie dzieci.

Co się tyczy uchronienia od gruźlicy, przenoszonej drogą mięsa — to na to poradzić mogą tylko urzędowe oględziny przez specyalistę zwierząt, przeznaczonych na rzeź oraz mięsa po zabiciu zwierzęcia. Wczesne rozpoznanie gruźlicy zwierząt ułatwia nam także środek, wynaleziony przez prof. Kocha, t. zw. tuberkulina. Jeżeli po zastrzyknięciu pod skórą małej ilości tuberkuliny zauważymy podniesienie ciepłoty u zwierzęcia, to wskazuje to na niewątpliwą obecność zmian gruźliczych, w przeciwnym razie możemy uważać zwierzę za zdrowe.

Jeżeli nie posiadamy specyalnych stacyi do badania mięsa, to nie pozostaje nam nic innego, jak dokładne gotowanie lub pieczenie mięsa, wiemy bowiem, że wysoka temperatura niszczy laseczniki.

Istnieje wszakże wśród bydła choroba, której nie należy uważać za podobną do gruźlicy ludzkiej, nazywa się ona perlicą, stwierdziły to badania Kocha i innych doktorów — perlica na ludzi przenieść się niekiedy daje, u ludzi gruźlicy wywołać nie może, natomiast gruźlica ludzka łatwo daje się przenosić na bydło i tą drogą znów sze-

rzyć się wśród ludu. Innego zdania są znów inni badacze, którzy twierdzą, że perlica bydła daje się łatwo przenosić na ludzi; chcąc zapobiedz niebezpieczeństwu szerzenia się perlicy, proponuje prof. Behring szczepienie ochronne przeciwko perlicy u bydła, mając nadzieję zmniejszenia tym sposobem ilości przypadków gruźlicy wśród dzieci, które jakoby zapadają na tę chorobę tylko dzięki spożywaniu mleka od krów gruźliczych.

Dr. med. Matylda Biehler.

Dom i kuchnia.

Wieczerza na wigilię Bożego Narodzenia.

I. Zupa rybna. — Sandacz, sos chrzanowy. — Szczupak smażony, kapusta z grzybami. — Kluski z makiem. — Kompot z owoców suszonych.

II. Zupa z ryb lub migdałowa. — Sandacz z jajami. — Majonez z karpia. — Ryba pieczona w całości z sałatą z kapusty czerwonej. — Łamańce z makiem tartym lub tort makowy. — Kompot z gruszek i śliwek suszonych. — Pierniki. — Strucle. — Orzechy.

Placek drożdżowy.

Dobre ciasto drożdżowe rozpostrzeć cienko na blasze masłem wysmarowanej, a gdy trochę podrośnie, nałożyć następującą masę: na placek 1 i pół do 2 funtów wziąć pół funta rodzenków korynckich, pół funta migdałów poszatkowanych w paseczki, ćwierć funta cukru, łyżeczkę utartego cynamonu, trochę skórki pomarańczowej obsmażanej, pokrajanej w wąskie paseczki i pianę z 4 białek. Wszystko razem wymieszać i nałożyć na placek wyrośnięty, wstawić do pieca średnio gorącego na pół godziny.

Strucle świąteczne.

Zwykłe dobre ciasto drożdżowe trzeba rozciągnąć na stolnicy na grubość dużego palca u ręki, na to ciasto nakłada się równo na grubość końca małego palca, albo masę migdałową, albo marmeladę z jabłek, lub jakiego kto chce owocu, poczem, zaczynając od brzegu, ciasto zwinąć w zręczny wałek. Robiąc ciasto z garnca mąki, można mieć spore trzy strucle, te kłaść na blachę, trochę masłem wysmarowaną i mąką popruszoną. Tak zrobione strucle muszą dobrze podrosnąć, zanim się je do pieca wsunie. Przed pieczeniem trzeba całą powierzchnię strucli równo posmarować rozbitem jajkiem. Kto się zna na pieczeniu ciast, pozna, kiedy strucle są już upieczone. Nadziewanego ciasta słomką próbować nie można. Wyborne są strucle, nadziane masą z maku.

Jedna kwarta maku białego lub niebieskiego. Funt rodzenków sułtańskich bez pestek, pół funta migdałów słodkich. Funt cukru pudru, skórka z jednej cytryny. Jaj całych sześć. Jedna kwaterka masła sklarowanego. Robić następującym sposobem: Mak sparzyć na noc wodą gotującą. Nazajutrz wodę bardzo dokładnie na sicie odcedzić.

Migdały pokrajać w paski, 5 migdałów gorzkich oparzyć z trochę cukru, utłuc na masę. Mak bardzo starannie w donicy (makturze) wałkiem utrzeć, dodając cukier. Gdy mak utarty, dodać jaja, skórkę cytrynową, bardzo drobno usiekaną, masę z gorzkich migdałów i migdały, pokrajane w paski. W końcu wlać masło; wszystko razem bardzo dobrze wymieszać i tą masą nakładać ciasta jak powyżej. Starczy to na dwa placki.

Miodnik.

Dwa i pół funta orzechów włoskich obrać z łupin i usiekać grubo. Pół funta miodu zrumienić w rondlu i włożyć w gorący, z 8 białek pianę mocno ubitą; gdy się piana mocno zaparzy, wsypać orzechy i smażyć na gorącym ogniu przez 20 minut, mieszając, potem całą masę zaraz włożyć na opłatki i wstawić w bardzo leki piec do zasmażenia. Podaje się krajane w kawałki.

Kapusta nadziewana ryżem z grzybami.

Główkę kapusty, wykroiwszy głąbek, włożyć na wrzącą wodę i przez kilka minut obgotować. Kwaterkę ryżu odparzonego włożyć do rondelka, w którym zasmażono pół cebuli średniej, drobno usiekanej z łyżką masła, nakryć i udusić. Osobno ugotować kilka grzybów suszonych i 2 jaja na twardo. Gdy ryż miękki, dodać grzyby i jaja drobniutko usiekane, trochę smaku grzybowego, soli i pieprzu — wszystko razem dobrze wymieszać i trochę przestudzić. Wyjąć kapustę na sito i przelać zimną wodą; potem wszystkie liście poodejmować i ułożyć na stole, skroiwszy z nich twarde łodygi. Na każdy liść nałożyć łyżkę farszu przygotowanego, zawinąć jak zrazy, ułożyć w rondlu, podlać rosołem lub wodą i masła dołożyć, nakryć, i wstawiwszy do pieca, dusić 20—30 minut. Podać kapustę, podlaną własnym smakiem.

:: HUMORYSTYKA ::

Na wsi.

— Powiedz mi malutka, kto u was we wsi jest najstarszy.

— Proszę łaski pana, był jeden taki, ale umarł przed tygodniem.

Rzeźnik filozof.

— Cóż to, daje mi pan tyle kości.

— Ach, pani. Kości są koniecznie potrzebne. Ja mam kości, pani ma kości — wogóle niema zwierzęcia bez kości.

Anegdota.

Raz dwie damy spierały się o to, która z nich ma wejść pierwsza do salonu.

Widząc to dowcipniś X. rzekł:

Brzydsza z pań niech wejdzie pierwsza.

Łatwo się domyśleć, że żadna z nich wejść pierwsza nie chciała...

W sądzie.

— Ile pani ma lat?

— Panie sędzio, wstydzę się powiedzieć...

— Ależ pani jest dziecinna!

— Dziecinna? O, dziękuję panu sędziemu!

Niewolnice mody.

Mają panie niewygody
I z chodzeniem dość mozołu,
Bo dziś według nowej mody,
Spętanemi są u dołu.

Dziw, że chodzić mogą jeszcze,
Nie padając pośród drogi:
W górze głowa wzięta w kleszcze,
W dole zaś związane nogi.

Niby walczą o swobody,
Chcąc mieć szersze działań pole,
A na jedno hasło mody,
Wnet oddają się w niewolę.

Przyczyna.

Pan spotyka przyjaciela w starym kapeluszu i pyta:

— Czemu sobie nie kupisz nowego?

— Mój kochany — odrzecze drugi — żona mi powiedziała, że jak długo w tym kapeluszu chodzić będę, nie pokaże się ze mną na ulicy; dlatego ten noszę i nosić długo będę.

Wygadała się.

Ona: Czy ty jesteś mądry, Stasieńku?

On: No... tak bardzo nie...

Ona: Ach, jak to dobrze! Bo mama powiedziała mi, że ty jesteś za mądry, ażeby się ze mną ożenić!

Celem uregulowania nakładu prosimy Szan. Czytelników o najrychlejsze nadesłanie przedpłaty na rok przyszły do Administracyi „TYGODNIKA NARODOWEGO“ w Krakowie, ulica Wiślna l. 2.

Prenumerata wynosi rocznie 9 koron, półrocznie 4 korony 80 hal., kwartalnie 2 korony 40 hal. — Abonament do Francyi, Ameryki, Król. Polskiego i Rosyi tylko półrocznie 8 koron, rocznie 16 koron.

Redaktor odpowiedzialny Marjan Hupczyc w Krakowie.